Nr. 29. 18. Września 1860.

Wychodzi we Lwowie w trzech arkuszach co Wtorek. Prenumerata: z przesyłką pocztową całorocz. 10 zł., półr. 5 zł., kwart. 2½ zł. We Lwowie całorocz. 9 zł., półr. 4½ zł., kwart. 2¼ zł., miesięczn. 75 ct. w.a.

KÓŁKO RODZINNE

Miejscową prenumeratę przyjmuje księgarnia Wilda tudzież inseraty po 8 ct. od wiersza za pierwszorazowe umieszczenie, za następne po 4 ct. z dołączeniem stemplowego po 30 ct. Biuro redakcyi: ulica halicka Nr. 157¼.

ŻYDOWSCY.

KRONIKA RODZINNA

spisana przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

Rok 1860.

(*Dokończenie.*)

Powróciwszy do domu, lubo istotnie już niedaleko było do świtu, sen ani na chwilę nie skleił jego powiek znużonych, tak go ta wizyta u Krzesława zajęła, wzburzyła i rozstroiła. Straszne-to rzeczy, w jakim stanie on znalazł swojego brata! Człowiek ten poszedł z duszą i ciałem w niewolę materyalizmu, — samolubstwo wybujało w nim do najwyższej potęgi i zapełniło całą jego istotę, — nie miał on już dziś ani pojęcia, ani nawet przeczucia obowiązków człowieka względem swych bliźnich, — co gorsza! zdawało się, że już nie miał ani kropli krwi polskiej w sobie! — Czyż jest podobieństwo, takiego człowieka naprawić? — Biorąc rzeczy zasadnie, trza przyznać, iż naprawa organizmu tak z gruntu zepsutego może być tylko wyjątkowym wypadkiem: taka nadzieja może się tylko w najlepszem i w najoptymistyczniejszem sercu urodzić. Dobiesław nie był optymistą — i o tej nadziei ani nawet nie myślał. — Ale czyż naprawa jest tutaj, czy powinna być słowem ostatniem? Czyż z człowiekiem takim, który nie obiecuje poprawy gruntownej, społeczeństwo nie ma już nic innego do zrobienia, jak tylko go przekląć, podać wzgardzie publicznej i od siebie na zawsze odtrącić? Ażaliż nie lepiej i dla niego i dla siebie uczyni, jeżeli i z takiego człowieka wyciągnie choć jakikolwiek pożytek? — Prawda ta była dla Dobiesława uderzającą. Jakoż już myślał tylko o tem, czy i Krzesława można-by, nawet takim jak jest, ku sobie pociągnąć i jakokolwiek upożytecznić. I znalazł, iż było to rzeczą wcale nie trudną. Albowiem Krzesław był przedewszystkiem niezadowolonym ze siebie samego, niezadowolonym ze swojej obecnej pozycyi, mimo swego bogactwa, nie miał ani wyższego znaczenia, ani wyższych widoków, ani nawet mógł znaleźć jakiekolwiek zajęcie, które-by mu dawało takich widoków nadzieję. Miał tedy łatwą z nim sprawę bo zawsze łatwa jest sprawa z takimi, którzy zająwszy fałszywe stanowisko w swem społeczeństwie i naładowawszy niemało grzechów na swoje barki, zostali nagle ze snów swoich szczęśliwych zbudzeni, — zbudzeni przez opinię publiczną, która gromkim swym głosem wyrecytowała wszystkie grzechy śmiertelne obecnej chwili i poczęła palcem wytykać grzeszników. A w takiem właśnie położeniu był Krzesław. Nakoniec droga ta, na której on mógł się stać pożytecznym pospolitemu dobru, była już prawie otwartą. Miał on znaczne kapitały, próżnujące dziś w skrzyni, miał niezmiernie obrotną głowę do przemysłu i handlu, i z jakąż-to passyą, z jaką fantazyą pochwycił myśl Dobiesława o Spółkach handlowych! — Tak, lubo całość Krzesława była dla jego brata źródłem niewysłowionej zgryzoty, jednak szczegóły bardzo go pocieszyły. Myśli te były jeszcze nie dosyć jasne, nie wyrobił ich dobrze, nie zamienił ich jeszcze w postanowienie — zastósowanie ich zresztą nie zależało w całości od niego, tylko od jednozgodnej opinii jego całej rodziny — bez jej przyzwolenia, bez jej pomocy, nie był-by on w stanie wciągnąć Krzesława do żadnej ze sobą wspólności: ale tak myśląc, i będąc pewnym, że myśli rozumnie i zacnie choć wiedział o tem, że w jego rodzinie jest bardzo wiele radykalnych żywiołów a nawet osobistych ku Krzesławowi niechęci i nienawiści, miał przecież nadzieję, że jego myśli zostaną ogólnie przyjęte; bo wiedział zarazem, że cała jego rodzina jest szlachetną, roztropną i pełna tak czystej dla dobra pospolitego miłości, iż gdzie tylko iść będzie o sprawę ogólną, tam wszyscy od razu drogi prawdziwej dostrzegą i wzniosą się razem i bez namysłu nad wszelkie radykalizmy socyalne i osobistość.

Jakoż zaraz nazajutrz tę sprawę na zgromadzeniu plenarnem wniósł i przedłożył. Ale ani się spodziewał, z jak otwartemi ramiony jego projekt przyjęto! Pierwszy głos zabrał najniecierpliwszy, i jak to już wiemy, najoptymistyczniejszy ze wszystkich — wikary i zawołał:

— A widzisz! widzisz! czy nie mówiłem ci tego już przed pięcią laty? Każdy się już dzisiaj nawrócił, a kto pozostał, ten się nawróci natychmiast, jak tylko będzie miał kogoś, który mu drogę pokaże. Chwytaj-że tylko Krzesława a prędko: niech-no się tylko między nas dostanie, obaczysz co my tu z niego zrobimy...

Inaczej mówili inni, lecz opozycyi stanowczej nie było. I tak Wapnowski, który miał najwięcej powodów do unikania Krzesława, rzekł na to:

— Dla mnie będzie to dosyć przykrem, ściskać rękę takiego człowieka, który mi tyle krzywd rozmai-

tych wyrządził; ale... nie był-bym chrześcianinem, gdybym nie umiał przebaczać — a miał-bym się za wyrodka, gdybym do pojednania serc i umysłów w rodzinie stawał przeszkodą.

Kanonik rzekł:

— »I odpuść nam nasze winy, jako my odpuszczamy naszym winowajcom«, — mówimy codziennie w pacierzu. Tak zawsze postępujemy; mamyż tylko tam stać się kłamcami, gdzie idzie o odpuszczenie win naszemu rodzonemu bratu?

A Mateusz zakończył:

— Co się łyse urodziło, to łyse zginie; święta-to prawda. I jeżeli wy myślicie, że go przerobicie, to was tylko żałuję. Ale jużci i to prawda, że na tym paniczu kożuch nie lada, więc kiedy-by się dał dobrze uskubnąć, to-by to było i nieźle. A kiedyby zechciał w jakibądź sposób służyć ojczyźnie, to mu nie przeszkadzać... Tak'eśmy i dawniej robili.

Tak tedy bez najmniejszego oporu postanowiono, nietylko przyjąć Krzesława, lecz owszem wszystkie siły wytężyć a nawet wszystko, co można, poświęcić, ażeby go oświecić, poprawić a przynajmniej upożytecznić.

We dwa dni potem przyjechał istotnie Krzesław, z żoną i dziećmi i z całym domem; widoczny to znak był, że chciał od razu i jak najbliższe zawiązać z domem swojego brata stosunki. Przyjęto go też niezmiernie grzecznie, posadzono na miejscu zaszczytnem, a nawet dogadzano niektórym jego próżnościom, aby go tylko ile możności ująć dla siebie. Zdarzyło się nawet, iż przypadkowym sposobem najwięcej mówiono o tem, co właśnie jemu dolegało najwięcej. Tak go zajął niezmiernie kanonik swoją zwyczajną a bardzo złośliwą chryją na obecne stosunki krajowe; zadziwił go do wysokiego stopnia Wapnowski swoją odwagą, z którą potępiał wszelkie demagogiczne zasady i wybryki; a w końcu niezmiernie mu zaimponował Dobiesław swoją gruntowną znajomością zasad przemysłu i handlu i praktycznem ich zastósowaniem do potrzeb naszego kraju. Już tedy pierwsze odwiedziny niezmiernie Krzesława ujęły dla całej Grodowiskiej rodziny, — a kiedy mu jeszcze do tego jego żona opowiedziała w domu: jaka-to słodka i nieoceniona kobieta ta pani Klotylda, jak dzieci jej są milutkie i grzeczne, jaki tam ład w całym domu, jak wszyscy byli dla niej uprzejmi i uprzedzający; to rzekł sam do siebie:

— Jak to człowiek nawet najrozumniejszy może być nieraz w błędzie! Ja ten dom miałem za jakąś spelunkę demagogów, zawiści, złości, nieporządku, nieładu — a to jest najprzyzwoitszy dom z całego naszego sąsiedztwa. Bodaj-by dyabeł wziął tych wszystkich plotkarzy, co tylko bajki roznoszą i rozsiewają ziarna niezgody pomiędzy sąsiedzkiemi domami! — Krzesław był już teraz tak bogatym, iż miał dość czasu zajmować się nawet tak nieintratnemi myślami.

Wszakże nowo zawiązane stosunki z Dobiesławem okazały się nawet i intratnemi. Niebawem bowiem, kiedy Krzesław oglądnął z bliska jego gospodarstwo, przekonał się, iż było tam wiele rzeczy tak rozumnych i istotnie praktycznych, że im się nie mógł nadziwić. Już tedy to samo wpoiło weń pewne poszanowanie dla jego starszego brata, — lecz to poszanowanie zamieniło się w uczucie istotnego szacunku, kiedy tenże brat jego przy takiem samem oglądaniu gospodarstwa w Starodziękach zrobił mu kilka uwag i dał mu rad kilka jeszcze daleko cenniejszych dla niego, bo zapewniających mu znaczne pomnożenie dochodów. Były to rady bardzo proste, bo zmieniające tylko porządek rotacyi i niektóre sposoby uprawy, a przytem tak jasne i pewne w swych rezultatach, że Krzesław postanowił natychmiast je zastosować. A kiedy Dobiesław odjechał, on się uderzył w piersi i rzekł do żony:

— Niech go Bóg kocha, tego naszego Dobka! To człowiek nietylko gruntownie uczony, ale ma takie jenialne pomysły, że mi niemi zaimponował. Gdybym był żył z nim w dobrem porozumieniu przez te pięć lat, jak tu mieszka, to-by mi Starodzięki były przynosiły o kilka tysięcy więcej co roku...

Na takich podstawach zaczęło się gruntować istotne zbliżenie się obudwóch braci — i można się było spodziewać najlepszych ztąd skutków, bo Krzesław odtąd zupełnie Dobiesławowi zaufał, uwierzył w jego uczciwość, uwierzył w jego rozum i kiedy poszedł za jego radami w rzeczach takich, w których miał siebie za mistrza, to zdawało się, iż go tem pewniej usłucha w rzeczach takich, o których nie miał pojęcia.

Jakoż w kilka tygodni za przewodem Dobiesława i jego żony zmieniło się wiele rzeczy w Starodziękach. Otworzono tam dom gościnny, nietylko dla samych osób utytułowanych, za któremi Krzesław dotychczas niespracowanie uganiał, ale dla wszystkich ludzi w ogóle, mających przyzwoite obejście się i wychowanie. Krzesław posłał deklaracyę do Towarzystwa ogniowego, posłał znaczną summę pieniędzy na szkołę rolniczą, zaambonował kilkanaście dzienników polskich i dał xięgarzowi zlecenie, aby mu xiążki przysyłał. Za radą Dobiesława oddalił nawet nauczyciela Francuza, który mu dzieci psuł a prowadził romans z Angielką, i kazał sobie poszukać nauczyciela Polaka, który-by jego chłopców nauczył przynajmniej historyi polskiej. Nie mógł na nim jeszcze tego wymódz Dobiesław, ażeby i Angielkę oddalił: ale zato projekt ich Spółki rolniczej już był ułożony zupełnie i zbierano tylko akcyonaryuszów, — obadwa domy braterskie żyły już prawie w codziennych ze sobą stosunkach, — Krzesławowa była zakochana na umor w całej Grodowiskiej rodzinie — a Krzesław żył w najlepszej przyjaźni z wszystkimi mężczyznami, i lubo zawzięcie dysputował z wikarym i Mateuszem, jednak się nigdy na nich nie gniewał, owszem sypał za ich namową całemi garściami pieniądze na rozmaite cele szlachetne i miłosierne....

Tak przez to wzajemne pojednanie się i zawiązanie poufnych ze sobą stosunków zrobiło się już bardzo wiele dobrego, było-by się zrobiło daleko więcej i zrobiło-by się nareszcie wszystko, co się zrobić powinno: ale w tem nowe zaszły wypadki...

*

* *

Oto około owego czasu zjawił się w Grodowiskach gość nowy i nigdy tu niewidziany, chociaż Dobiesławowi był znany od lat bardzo dawnych. Był to człowiek miernego wzrostu, miernej kibici, niewiadomego wieku i nie mający nic odznaczającego w całej swojej powierzchowności. Nawet na jego twarzy nie było żadnego wybitnego i dokładnie odznaczonego wyrazu i trza się było domyślać: iż albo nie masz w jego istocie wewnętrznej nic takiego, co-by się mogło odmalować na twarzy, albo przeciwnie jest w niej takie mnóstwo krzyżujących się z sobą uczuć, opinii i pożądliwości, iż twarz jego, pokreślona niemi wzdłuż i na poprzek, stała się jakoby zamazaną i całkiem już nieczytelną tablicą. Wszakże daleko podobniejszem było to drugie, albowiem twarz jego ożywiała się w rozmowie w sposób zadziwiający i przy najmniejszem uniesieniu drgały na niej wszystkie muszkuły jak w ogniu, trzęsły się usta a oczy błyskały elektrycznemi ogniami. Jakoż przy pierwszej rozmowie nie trudno było w nim zgadnąć człowieka, obdarzonego wulkanicznem sercem i dziwnie niespokojnym umysłem. Był on zresztą ubrany dość przyzwoicie, zdradzał obszerne wiadomości, wielkie otarcie się w świecie i dosyć płynną a nawet porywającą wymowę, wszakże tylko dopóty, dopóki go niekiełzana namiętność nie uniosła: wtedy tracił głos, tracił nawet przytomność umysłu i jeżeli jeszcze co mówił, to już tylko rzeczy niezrozumiałe albo zgoła szalone. Człowiek ten nazywał się Walenty Wichr — chodził niegdyś z Dobiesławem do jednych szkół — dawnemi czasy często się z obudwoma braćmi widywał — z Dobiesławem żył nawet chwilami w bardzo bliskich stosunkach — przez bardzo długi czas potem nie dał nic słyszeć o sobie — a teraz do Grodowisk zajechał.

Obaczywszy go zajeżdżającego przed ganek, Dobiesław się jego przyjazdem niezmiernie ucieszył, przyjął serdecznie, ulokował wygodnie i przedstawił go swojej rodzinie jako jednego ze swoich najdawniejszych przyjaciół. Grzeczność gospodarza w przyjęciu gościa staje się obowiązkiem dla jego domowników: jakoż go wszyscy przyjęli jak rodzonego brata pomiędzy siebie i wyścigali się w okazywaniu mu swej uprzejmości. Nowy gość, nowe życie, tysiące nowych do rozmowy przedmiotów. Toż z jego przyjazdem niezmiernie ożywiły się Grodowiska— a to tem bardziej ile że Wichr był w literaturze bieżącej jak w domu, zajmował się polityką przed wszystkiem, lecz oprócz tego miał wiadomości mnóstwo, a nadto jeszcze posiadał gospodarską naukę i doświadczenie, co bardzo zajmowało Dobiesława. Trwały więc dysputy od świtu do nocy, z wielkiem dla wszystkich zajęciem...

W kilka dni potem przyjechał Krzesław. Jak tylko tego nowego gościa obaczył, także się nim niezmiernie ucieszył, wołając do niego:

— Jak się masz, mój kochany Wicherku! cóż ty tu robisz? gdzieżeś nam bywał przez tak długie czasy? Wybornieś zrobił, żeś tu przyjechał! Przecież i mnie zechcesz odwiedzić. Proszę cię o to proszę.

Nowe dysputy, nowe zajęcie.

Jednak nim Krzesław odjechał, wziął Dobiesława do przyległego pokoju i spytał go:

— Proszę cię, zkądże znów na widownię wypłynął ten nasz stary Wicherek?

— Wicherek — rzekł na to Dobiesław — przebywszy, jak ci wiadomo, rozmaite koleje losu, zawiadował aż dotąd interesa swojej rodziny, a teraz, sprzedawszy swą schedę, chce się tu kędyś umieścić. Ja bardzo kontent jestem z jego przyjazdu: ożywimy się trochę.

— Tak, ożywimy się — rzekł Krzesław— ale-bo to ten Wicherek... hm! Przecież pamiętasz, jakie on promulgował zasady swojego czasu... Czy nie zechce on korrepetować z nami tych samych zasad i dzisiaj?

Dobiesław się na to uśmiechnął i rzekł:

— Oh! pamiętam dosłownie, jakie on niedorzeczności wyplatał w roku 1848! Ależ to temu dwanaście lat! Przecież-eśmy wszyscy od tego czasu postąpili przynajmniej o tyle, ażebyśmy się na naszych ówczesnych głupstwach poznali. A zresztą, *s'il est un temps pour la folie, il en est un pour la raison.* Każdy to widzi...

— Każdy to widzi... ale, jak mi się zdaje, są jeszcze i dzisiaj wyjątki. I jak mi się zdaje takim wyjątkiem jest ten nasz Wicherek. Jego zasady wcale mi się nie podobają. On gdzieś leci na oślep: a zabij go, jeśli wie gdzie....

Znowu się na to uśmiechnął Dobiesław i odpowiedział:

— Tak.... bez wątpienia.... on jest może trochę zanadto gorący; ale właśnie dlatego zda się nam doskonale przy gospodarstwie. Będzie nas budził z odrętwienia i ospałości, będzie nas naprzód popychał, popędzał, potrącał, a to ważna jest rzecz.

Na tem się skończyła ta krótka rozmowa, a o ile obadwa słuchający polegali na zdaniu Dobiesława, o tyle się na nie zgodzili.

Nazajutrz pojechał Dobiesław z całym swym domem i gościem do Starodziek. Wichr tam był najczynniejszym; wiele rozmawiał z Krzesławową i bardzo jej się podobał; rozmawiał z dziećmi i zaraz je poujmował dla siebie. Ztąd także się i Krzesławowi podobał: a że Krzesław czuł się zawsze nieczystym w swojem sumieniu i rad był poprawę pod każdym względem okazać, więc zaraz zaprosił Wichra na mieszkanie do siebie, obiecując mu sam dzierżawę wyszukać, a nawet w razie potrzeby wypuścić mu który z swoich folwarków.

*

I odtąd Wichr zainstalował się w Starodziękach, lecz wrzeczy bawił i tu i tam, i wybiegał co chwila w inne sąsiedztwa.

Tak minęło kilka tygodni.

A po kilku tygodniach okazały się rzeczy zadziwiające. W całej okolicy bowiem zrobił się ruch niesłychany, hałas i tartas i wrzawa, jakiej od niepamięci nie było...

Ruch, rzecz pożądana! główny-to warunek postępu i życia. Ale ruch ruchowi nierówny. A kiedy się kędyś zrobi ruch nadzwyczajny, każdy człowiek roztropny pyta dzisiaj przedwszystkiem: z jakich ten ruch wypływa źródeł, jakiemi jest obudzony środkami i do jakich zmierza celów. — Kiedyśmy ufni w żywotność naszych dziejowych tradycyi i w jedność natchnień narodu, wierzyli ślepo, że każdy ruch u nas może tylko z jednego wypływać źródła i do jednego zmierzać celu, nigdyśmy o to się nie pytali, i szliśmy za każdym ruchem, choćby na śmierć lub męczeństwo ale odkąd'eśmy się przekonali po dwakroć, iż już i u nas zdarzają się ruchy, z rozmaitych wypływające źródeł, rozmaitemi obudzane środkami i do rozmaitych służące celów — odtąd się zawsze i bardzo pilnie o to pytać powinniśmy — i będziemy...

Wszakże w Grodowiskach nikt o to nie pytał. Cała tamtejsza rodzina składała się z ludzi ślepej ufności i wiary. Nawet Wapnowski, zaufawszy słowom swojego zięcia, kontent był z tego, iż jakoś żwawiej zrobiło się w okolicy; nawet sam Krzesław, pozbywszy się swojej dawniejszej obawy, bawił się tym ruchem jako rzeczą nową i zajmującą.... A tymczasem każdy powinien był już dawno zapytać się o to: albowiem już na pierwszy rzut oka było rzeczą widoczną, że ten ruch ze stronniczych wypływa źródeł, że jest rozbudzany niepozwolonemi środkami i że do żadnych wyższych i ogółowych nie zmierza celów, choćby tylko dlatego, iż zamiast łączyć umysły i serca ze sobą i zwracać je do walki przeciwko złemu naciskającemu nas z zewnątrz, burzy umysły i serca przeciwko sobie, wywołuje podejrzliwość i oskarzenia, niechęci i nienawiści, kłótnie zawzięte i krwawe wojny domowe.

Były to wszystko już rzeczy widoczne, bo skutki były widoczne.

Przejdźmy do osób.

Pierwszy, który się chwycił tego wichrowatego ruchu, był oczywiście Mateusz, bo zawsze każdego ruchu pierwsi chwytają się ci, którzy mają gorące serca a słabe rozumy. I chwycił się Wichra rękami i nogami w najserdeczniejszą zaszedł z nim przyjaźń, tylko jego patrzał oczyma i mówił jego ustami. I straszna rzecz, do jakiego stopnia zuchwalstwa i zawziętości doprowadził się w dni kilkanaście ten zawsze tak zacny i serdeczny Mateusz. Rozgorzał on ogniem piekielnym jak szatan, rozkiełzanemi ustami głosił otwarcie drakońskie zasady, Robespierre był u niego wielkim człowiekiem, nie podług jego myśli stworzeni bohaterowie narodu podłymi służalcami, każdy który się z jego zdaniem nie zgadzał głupcem i bałwanem, a ktokolwiek oddany pracy poważnej albo przez długoletnią pracę zwątlony na siłach nie hałasował z nim razem, nie wrzeszczał, nie krzyczał, na tego plwał gębą spienioną i klął go odstępcą i zdrajcą...

Tuż zaraz po nim zeswatał się z Wichrem wikary. I on także z całego serca przylgnął do zasad przez niego głoszonych, widział konieczną potrzebę publicznego oskarzycielstwa, rewolucyjnych trybunałów i sprawiedliwości przez lud wymierzanej, a odsadziwszy od czci i wiary wszystkie dotychczasowe powagi, rządy i sądy rad-by był poruczył kawiarniom i tłumom ulicznym. Osobliwsze to opętanie! Ale jak się to zwykle dzieje, iż kiedy człowiek wykształceńszy da się porwać jakiemuś szaleństwu, to zabrnie daleko głębiej, niżeli mniej wykształcony; tak i wikary poszedł jeszcze daleko dalej, niżeli Mateusz. Toż podług niego nie dosyć było oskarzać, opluwać i przeklinać tych, którzy dali do tego jakiekolwiek powody: ale trza było także oplwać i podruzgotać tych, którzy dotychczas bądź pracą, bądź zasługami, bądź osobistą zacnością, zdobyli sobie jakiekolwiek poszanowanie, a nie licowali z nim we wszystkich szczegółowych zasadach i przekonaniach. Trza było się wkradać w rodziny i domy, wywlekać z nich mężów i ojców, stawiać ich pod pręgierzem i wyrzucać potem za scenę, — trza było wymiotać wszystko to, co się w jakibądź sposób wyniosło na wierzch społeczeństwa, — trza było zrobić *tabulam rasam,* ażeby nikt nie pozostał tylko same bezmyślne tłumy, — trza było zrobić chaos przedpotopowy, zamęt, noc ciemną... ażeby w niej potem bez przeszkody królować. Ztąd jego hasłem było: — Precz z powagami! precz z poetami i uczonymi! precz ze wszystkiem, co dotąd jest! Precz! z drogi! bo oto są dziś ludzie nowi, którzy stworzą świat nowy! — Gdzie są takich zasad wyznawcy, tam znajdą się dla nich ofiary, — zwłaszcza że sobie nigdy głowy nie łamią nad swoich ofiar wyborem. Mniejsza o to, że ktoś niewinny, mniej winny lub winny ale obiecujący poprawę, zostanie wystawiony pod pręgierz i publicznie oplwany: tu nie chodzi o taką rzecz marną jak człowiek, tu chodzi o przeprowadzenie zasady! W takich wypadkach nie brakuje ofiar nawet tam, gdzie nie masz istotnie winnych: toż tem bardziej nie brakło ich tutaj, gdzie były winy istotnie. Jakoż najpierwszą ofiarą ich zbawczego zapału padł oczywiście nie kto inny, jak Krzesław. Wydobyto na nowo jego wszystkie grzechy i grzeszki, rozniesiono o nich wieść głóśną po całem sąsiedztwie, przydano do tego to wszystko, czego się dowiedziano ze słuchu, czego się domyślano i czego się podejrzliwość mogła po nim spodziewać — i bez żadnego względu na to, że człowiek ten już się znacznie poprawił, że się poddał wpływom swego zacnego brata i że za jego przewodem zaczynał być istotnie pożytecznym dla kraju — oplwano go publicznie i nazwano odstępcą i zdrajcą.

Wszakże nie dosyć na nim. Wzięto się bowiem z kolei do Wapnowskiego i rozebrawszy krytycznie jego arystokratyczne zasady, jego wyniosłość i dumę

i pewną wstrzemięźliwość od ludzi — bez względu na to, że człowiek ten tak serdecznie darował niegdyś pańszczyznę, że był już dzisiaj starganym na siłach i z natury rzeczy do gorących uczynków niezdatnym, że mimo to wszystko był-by jeszcze dzisiaj wsiadł na koń i dał się posiekać dla miłości ojczyzny,—rozsiano głośną przeciwko niemu nieufność i ogłoszono ciężkim wrogiem sprawy ogólnej.

Wszakże i na tem nie dosyć. Przyszła bowiem kolej i na kanonika — a lubo ten starzec był niewinny jak gołąb, nigdy się wprawdzie głośno nie zasłużył krajowi, bo nie miał sił ani fantazyi po temu, lecz za to bardzo sumiennie dopełniał swych obowiązków, ściśle przestrzegał nauki i moralności u ludu, a głęboko pomyślanemi i wymownie powiedzianemi kazaniami zasłużył sobie na zaszczytne nazwisko uczonego kapłana, — właśnie dlatego, iż był tak niewinnym, że spokój polubił, że stojąc nad grobem, mało myślał o ziemi a więcej o Bogu, — ogłoszono go bałwanem i głupcem i walną dla postępu i ruchu zaporą.

Jednak i na tem jeszcze nie dosyć. Dostało się bowiem nawet samemu Dobiesławowi. Nie ogłoszono go jeszcze odstępcą i zdrajcą, bo było-by to fałszem krzyczącym. Człowiek ten pracował wedle sił swoich, był pożytecznym dla kraju, ogłaszał zasady wolnomyślne, gorąco kochał ojczyznę i był niewątpliwie gotów do każdego rodzaju poświęceń. Tego trudno mu było zaprzeczyć, bo były to rzeczy jawne i dla wszystkich widoczne. Ale Dobiesław miał ten spokojny i zdrowy rozsądek, który w naszem położeniu, po tylu stratach i zawodach, z naszej własnej winy doznanych, każe się na każdym kroku bardzo pilnie oglądać na przyszłość, — a ponieważ do tego miał niewątpliwie tę krzepką fantazyę, która w danym razie może pójść naprzód i coś popchnąć albo powstrzymać, ponieważ miał rozum i był już jakąkolwiek powagą, na którą wielu się oglądało: więc nuż także po nim! Nie ogłoszono go, jak już powiedziałem, odstępcą i zdrajcą: ale poczęto milczkiem rozsiewać pewną ku niemu nieufność, ogłaszać go przyjacielem bezwzględnego pokoju, człowiekiem zasad już przestarzałych, umiarkowanych i dziś do niczego nie zdatnych.

W takiej postaci objawił się ten ruch nowy u dołu; ale ruch jest to powietrze a powietrze jest zaraźliwe, więc go nie brakowało także u góry.

I tak Wapnowski, słysząc jak się opinija publiczna przeciwko Krzesławowi wzburzyła, zburzył się także przeciwko niemu i zburzył się oczywiście najłatwiej. Jesteśmy wszyscy niestety! słabi, u każdego aż do pewnego stopnia najbliższa koszula ciała i każdy przyjmuje te opinije najłatwiej, które dogadzają jego własnym uczuciom. Wapnowski, jak tylko mu się zdarzyła do tego sposobność, na nowo Krzesława zniecierpiał i znienawidził. Wszakże pomimo to zniecierpiał także Grzegorza i Mateusza, bo nie mógł nie cierpieć zasad tak nieoględnych, zuchwałych i nie szanujących nikogo.

Prawie tak samo postąpił sobie także kanonik. Słysząc, co mówią dziś o Krzesławie a nie mogąc tego zaprzeczyć, iż jest w tych oskarzeniach cokolwiek słuszności, dla miłego zresztą spokoju, całkiem się od Krzesława odsunął. Wszakże odsunął się także od Grzegorza i Mateusza, patrzał na nich z pod oka, i z wielką tylko goryczą z nimi rozmawiał.

Nareszcie i sam Dobiesław, widząc jak się przeciwko jego bratu zburzyła opinija sąsiedzka, słysząc zdaleka, że już i przeciw niemu za to powstaje, iż mu jego winy tak łatwo przebaczył, zaczął się trochę zastanawiać nad sobą i bratem. A ponieważ zawsze był przekonania, iż nasza ospałość nas gubi a każde ożywienie umysłów jest dla nas zbawiennem, co otrzymuje w ruchu, rozwija i potęguje nieliczne sprężyny naszego dość ciasno określonego życia, — i ponieważ był przekonanym, iż w naszem położeniu wszystko się osięga z wielką trudnością a nic bez poświęceń i ofiar: więc podniósł się nad to, iż za obecne ożywienie umysłów jego rodzony brat płaci, a obiecując sobie, iż ta mała szkoda łatwo się powetuje a nawet naprawi, owszem był kontent z tego, że się nareszcie poruszyły umysły, i jeszcze sam temu ruchowi pomagał.

Jeżeli tedy ich wzajemne dysputy nabierały coraz więcej ognia i zawziętości, to tylko z tego się cieszył; a jeśli ztąd wynikały wzajemne dąsy i gniewy, to się niemi wcale nie martwił: bo wierzył święcie, że gdzie miłość jest taka serdeczna i głęboka, tam żaden gniew nie może być innym, jak tylko chwilowym...

Tak było z początku.

Ale Dobiesław był człowiekiem poważnie myślącym i na jakąkolwiek rzecz zwrócił swoją uwagę, lubił ją zbadać gruntownie i zdać sobie z niej sprawę dokładną i jasną. Tak wziąwszy pod ostry nóż krytycznego rozumu ten ruch, który się rozniósł w jego rodzinie i po całem sąsiedztwie, dostrzegł niebawem tego wszystkiego, cośmy o nim powiedzieli już z góry, i dostrzegł jeszcze daleko więcej. Nie tajno mu już było natenczas, iż chociaż pod tego ruchu powiewał sztandarem patryotycznym, jednak jego dążność i treść była czysto stronniczą, — nie tajno mu było dalej, iż lubo spory toczyły się niby o zasady dotyczące pospolitego dobra, jednakże w gruncie rzeczy jak się poczęły tak i zostały na ciasnem i brzydkiem polu osobistości, — nie uszło nareszcie jego zdrowemu oku, iż w obecnych okolicznościach, ruch taki stronniczy a do tego tak gwałtowny i tak radykalny, nie może mieć ani wyższego ani też żadnego celu przed sobą, i może tylko wywołać jakieś nowe głupstwo bezmyślne.... A kto ten ruch wywołał, kto go głównie zasycał, kto go prowadził, — to był Walenty Wichr, jego przyjaciel.

Dawnemi czasy, nie potrzeba było pytać, kto nas prowadzi i dokąd? — bo ten, który prowadził, był znany każdemu dziecku, jego zasady i wiarę wypowiadały jego zasługi i cnoty a jego cel, bagnetami zjeżony, widziało oko.

Ale dziś, gdzie lada wichr zerwie się z ziemi i lada całkiem nieznany, albo co gorsza, znany powszechnie jako duch niezgody i nienawiści, porywa buławę hetmańską — i gdzie ten wichr nigdy otwarcie nie powie, czego właściwie chce, wojuje zawsze bronią dwusieczną, morduje dzisiaj człowieka a mówi, że idzie mu o zasadę, jutro morduje zasadę a trafia człowieka, dzisiaj klnie kogoś zdrajcą a jutro go za to przeprasza, i zgoła każdego momentu gotów być kozłem i baranem: tam za każdym nowym powiewem, ktokolwiek głos ma w swem gardle, powinien głośno zapytać: — Kto? zkąd? i dokąd?

Tak myślał Dobiesław — i dlatego przedsięwziął sobie, przy pierwszej sposobności otwarcie z Wichrem pogadać.

Jakoż jednego dnia, dopadłszy go w swoim ogrodzie, zawiązał z nim następującą rozmowę:

— Dobrze żem cię tu zastał, mój kochany Wicherku; mam z tobą o ważnych rzeczach do pomówienia....

I siadłszy zaraz przy nim, tak dalej mówił:

— Wiesz pewnie, że od niejakiego czasu, a mianowicie od tego, odkąd ty tutaj bawisz, opinia publiczna straszliwie się zburzyła przeciwko mojemu bratu. Obwołano go odstępcą i zdrajcą, rozniesiono o nim mnóstwo ubliżających wieści a między niemi i takie które są po prostu zmyślone. Że mnie to zabolało, łatwo się domyślisz, bo to przecież mój brat; zabolało mnie to jeszcze daleko więcej dlatego, iż już-em go był wprowadził na drogę poprawy; ale najwięcej dlatego, iż z tego powodu rozniósł się pomiędzy nami wszystkimi duch podejrzliwości, oszczerstwa, oskarzycielstwa, domowych waśni i wojen. Dochodziłem starannie, od kogo to wyszło, i doszedłem, iż wyszło od ciebie. Proszęż cię, powiedz-że mi najpierwej, cóż ci winien mój brat?

— A! przyznam ci się — zawołał na to Wichr — żem się takiego pytania najmniej spodziewał od ciebie! Czyż ty nie widzisz, że tu nie chodzi o twego brata, tylko o co innego?

— Pozwól-że mi się spytać, o co tu chodzi?

— Jakto? ty pytasz się o to?

Dobiesław chwilkę przemilczał a potem rzekł:

— Na rozkaz twój już-em się wszystkiego domyślił. Tu chodzi o poruszenie pewnej myśli żywotnej, pewnej narodowej idei. Tak wy mówicie; a lubo z czynności waszych jest rzeczą widoczną, że wy albo tę narodowę ideę pojmujecie zupełnie fałszywie, albo jej tylko za pokrywkę używacie; jednak ja to dopuszczam. Lecz gdyby nawet i tak było, to powiedz-że mi, mój drogi, czy jest jaka idea tak wielką, tak plugawemi środkami? aby wolno było dla niej niewinnych napadać ludzi, niszczyć jednym zamachem ich wieloletnie zasługi, kląć ich zdrajcami a ich imiona podawać wzgardzie publicznej? ażeby wolno było brata podburzać na brata, rozsiewać złości i nienawiści; zaszczepiać jady wojen i burd w wnętrzu rodziny? — Daruję ci mego brata, bo to mój brat, bo może istotnie co winien. Ale cóż ci też winien nasz zacny kanonik, żeś go sklął głupcem i bałwanem, rzucił na niego podejrzenie, jakoby był wrogiem ojczyzny i usiłował ją żywcem pogrzebać?

— Kanonik — rzekł na to Wichr — jest martwą bryłą, zerwał wszelkie stosunki ze żywym światem, stanął sam nieruchomie na miejscu i stał się zaporą wszelkiego ruchu i postępu. Takich ludzi trzeba uprzątać. Ażaliż nie wiesz, że aby drogę nowemu światu utworzyć, trza przedewszystkiem pogrzebać umarłych?...

— Ależ zmiłuj się, co innego jest grzebać a co innego plugawić. Jak można podnosić rękę na takiego człowieka, jakim jest kanonik, chociaż-by nawet istotnie się z nowszemi pojęciami nie zgadzał? Przecież ten człowiek ma wielkie za sobą zasługi. On lat kilkadziesiąt wytrwał z zaszczytem na urzędzie kapłańskim i był kapłanem nieocenionym: świadkiem tego jest Grodowiska gromada. Dzisiaj, stargawszy zdrowie i siły, zapragnął spoczynku: czyliż-to nie jest rzecz naturalna? Czyliż on winien co temu, że już przeżył swe życie, że się przybliżył do grobu i że stojąc nad grobem, myśli więcej o grobie, niżeli o życiu? Niczem-że są u ciebie jego wiek, jego siły stargane i jego zasługi?

— Nie rozumiemy się, nie zgadzamy się w zdaniach....

— O oczywiście, że się nie zgadzamy. Bo tyś rzucił klątwę nawet na mego teścia.... Cóż ci znów winien mój teść?

— Twój teść, mój kochany! — rzekł na to Wichr — jest daleko więcej winien, niżeli Krzesław. Krzesław jest tylko materyalistą: o pieniądze mu idzie, a reszta wszystko mu obojętna. Tacy ludzie są tylko materyalnie szkodliwi... Ale twój teść materyalistą nie jest i bierze udział we wszystkich społeczeństwa czynnościach i myślach: a jest arystokratą zakutym, nie cierpi wszystkiego co jego martwym zasadom przeciwne, pogardza wszystkiem co z jego zaczarowanego koła nie wyszło — i tę zarazę około siebie rozsiewa. Tacy ludzie są najcięższymi wrogami sprawy powszechnej — i trza ich grzebać najpierwej.

— Hm, hm, hm! — rzekł na to Dobiesław — ślicznieś mi mego teścia przedstawił, czy to już wszystko?

— Jest jeszcze i więcej, ale o tem zamilczę.

— Dlatego zapewne zamilczałeś i o tem: że mój teść, chociaż jest takim arystokratą, bił się za ojczyznę, za którą ty, jego sędzia i oskarzyciel, nigdzie się nie biłeś, ani nawet cierpiałeś... I zamilczałeś o tem, że ten mój teść stracił ogromny majątek na to, ażeby jego dom był świątynią braterstwa a przybytkiem tułactwa — że żyjąc potem przez wiele lat prawie w nędzy, od ust sobie ujmował a szkółki fundował dla ludu — że dziś trzecią część swo-

ich dochodów obraca na obywatelskie i miłosierne uczynki — i że dziś jeszcze, chociaż się już przygarbił i włosy przyprószył siwizną, pierwszy-by wsiadł na kulbakę i potrafił-by zginąć... Czy to jest nic? czy i to nawet cię nie ubłaga dla niego?

— Nie! — odpowiedział stanowczo Wichr, — bo nie idzie tam, gdzie my idziemy. Niech szlachta zbudzi się ze snu, niech się zaciągnie pod nasze sztandary i niech się weźmie do pracy tej, jaką my jej wskażemy: a wtedy wszystko jej przebaczymy.

— Cha, cha, cha! — rozśmiał się na to Dobiesław — jakto! i tobie się marzy o tem istotnie? — Powiedz-że mi otwarcie, czy wy jeszcze i dziś, po tylu dowodach waszego heroizmu i politycznego rozumu, macie zawsze pretensyę do hetmańswa i przewodnictwa w narodzie? — A! wiesz co! była-by to rzecz arcy-zabawna!

— Nie rozumiemy się — rzekł sucho Wichr — nie dójdziemy ze sobą do końca...

I chciał już odchodzić. Ale go Dobiesław jeszcze zatrzymał i rzekł:

— Ależ-bo właśnie o to chodzi, ażebyśmy się porozumieli: a nie jest to rzecz niepodobna. Słuchaj mnie, mój Wicherku! ja już ciebie doskonale rozumiem, i na wszystko ci dokładnie odpowiem. Słuchaj mnie tylko bez gniewu a z podniesieniem ducha nad wszelkie osobistości, bo przecież nie o nas tu chodzi. Dopieroś pierwszy krok teraz na scenę publiczną postawił: a patrz! ileś ty już niedorzeczności napłatał! Ty tym jednym krokiem pojedyńczym osobom piekielne powyrządzałeś krzywdy, — ty w społeczeństwie, które po długoletniem rozdarciu dopiero co się na powrót zlało ze sobą, wywiesiłeś na nowo sztandar stronniczy, — ty w chwili takiej, kiedy nam jak największej trzeźwości umysłu i moralnej powagi potrzeba, zaraziłeś nas pijaństwem serca i szaleństwem sumienia — a kiedy tylko jak najsilniejsza spójnia wewnętrzna może nas zbawić, tyś zasiał pomiędzy nas ziarna złości i nienawiści i nowego rozdarcia! — Patrz! ile tu pięknych owoców twój rozum stanu wydał od razu! — Ale to wszystko jeszcze się tobie przebaczy, zapomni i zmaże na wieki: tylko zwiń twoją chorągiew stronniczą a stań pod chorągwią ogólną. Ty, człowiek tak krzepki i z taką ognistą fantazyą, ty możesz się stać bardzo pożytecznym: lecz na to trzeba, ażebyś tak jak my wszyscy zapomniał całkiem o sobie a zlał się z całością, ażebyś zarzucił twoje wieczyste dażności fakcyjne i abyś zwolnił cokolwiek z twoich wygórowanych pretensyi. Przewodniczyć dziś, to tobie trudno, to niepodobna. Zważ tylko, czego do tego potrzeba, i przypomnij sobie, jakimi bywali ci, którzy nam przewodniczyli niegdy. Byli to wszyscy ludzie powszechnie uznanej zasługi i ukochanego przez cały naród imienia. A gdzież są twoje zasługi? gdzież twoje imie? -- Czy chcesz, żebym ci je przypomniał? — Mógłbym, bo przecież się znamy; lecz nie chcę. A czegóż jeszcze po takich przewodnikach potrzeba? Oto potrzeba koniecznie, ażeby stanęli swoim umysłem na wysokości takiej, z której widać całą powierzchnię narodu — i ażeby swem sercem cały ten naród objęli. A gdzież ty stoisz? na poziomie ulicy. A coś ogarnął twem sercem? Najniższe warstwy społeczne. Jak daleko z takim zapasem u nas zajść można, jużeśmy to widzieli: a dziś, wierz mi to mój kochany! ledwie niedowarzony chłystek może być tak nierozropnym, ażeby popędził za takiemi wichrami. Dlatego zastanów się nad tem, co czynisz, wyspowiadaj się choć raz przed sobą serdecznie i szczerze, zajrzyj w głąb' twoją, i uderz się w piersi, i zaprzyj się siebie, i zlej się z całością: a wtedy obaczysz, iż wszyscy razem zajdziem daleko dalej, niżeli-by najgorętszy z nas był zaszedł z osobna. Wichr milczał.

A Dobiesław, będąc pewnym jaknajlepszego skutku swojej przemowy, na tem zakończył; jakoś jak gdyby nic nigdy nie było wziął swego przyjaciela pod ramię i zaprowadził go na herbatę, z którą na nich czekano.

Przy herbacie był spokój i rozmawiano pogodnie i zgodnie...

Ale już w kilka dni potem rozniósł się nowy wrzask i harmider po całem sąsiedztwie. Wichr zaczął wichrzyć na nowo, jawnie i skrycie, i z niesłychanem zuchwalstwem. Biegał po całej okolicy jak opętany i dowodził kłamstwami i fałszem: że Krzesław jest denuncyantem i szpiegiem — że kanonik jest zaprzedanym; — że Wapnowski knuje spiski i burzy szlachtę przeciwko każdemu ruchowi. Na dobitkę tego wszystkiego najboleśniejszą ofiarą swojej serdecznej przemowy padł Dobiesław: okrzyczano go bowiem zaprzańcem, domatorem, materyalistą, samolubem i najzawziętszym wrogiem sprawy powszechnej.

I nie trudno się już domyśleć, jakie ztąd wywinęły się skutki.

Pomiędy obudwoma braterskiemi domami zerwały się odtąd wszelkie stosunki.

O pracach wspólnych, o przedziębiorstwach, o owych tysiącznych projektach, które w czasie zgody ukuto, już ani wspomnienia nie było.

W domu Krzesława ciężkie zapanowało zmartwienie — a dom Grodowiski stał się areną najgwałtowniejszych sporów i kłótni.

Nie dysputowano już z sobą, ale się na siebie rzucano.

Przyszło nareszcie do tego, że Mateusz zaczął skakać z zaciśniętemi pięściami Wapnowskiemu do oczu — a Grzegorz szkalował kanonika publicznie.

Śmiertelnie tem zgryziony kanonik zamknął się u siebie, zasiadł nad pismem świętem i ani krokiem nie ruszał się z domu.

Wapnowski, znudzony do najwyższego stopnia, kazał swoje rzeczy pakować, ażeby zaraz po żniwach za granicę wyjechać.

Dobiesław chodził jak struty i sam nie wiedział, co-by miał począć ze sobą.

A szatan siedział na boku i śmiał się, i kłapał zębami, i klaskał w ręce z radości!

* * *

Epilog.

— I koniec na tem? — pyta czytelnik, — okropny-to koniec!

— Może i koniec... w rzeczywistości; ale jesteśmy w powieści — a powieść ma swoje prawa wyłączne. Idźmyż więc dalej. —

Otóż jednego dnia — a było to właśnie na krótką chwilę przed zachodem słońca — Dobiesław zasiadł samotnie w kąciku swej wielkiej sali jadalnej i bardzo się smutno zamyślił. Przypomniały się jego pamięci wszystkie jego zabiegi i prace, i prac tych owoce, i jego wszystkie nadzieje. Już doprowadził był tak daleko, już pogodził ze sobą najsprzeczniejsze opinije, już swego brata sprowadził na drogę poprawy, już jego żelazne serce i skrzynię otworzył do poświęceń i ofiar, już duchy zestrzelił w jedno ognisko, już ręce powiązał do wspólnych przedsiębiorstw i pracy, już brakowało tylko jednego „Stań się!", ażeby jego zespoloną rodzinę nowemi pchnąć tory: a tymczasem za jednym wichru powiewem wszystko to pierzchło a jego gmach cały rozbryzgnął się w drobne kawałki! Jeszcze przed chwilą cieszyli się niebiescy anieli, unosząc się nad tą nieszczęsną ziemią i swojem tchnieniem związując porozstrzelane promienie ducha: a teraz już szatan przebrzydły siadł na niej, kłócąc coraz zuchwalej wzruszone na nowo odmęty. Jeszcze przed chwilą w całej rodzinie jasny błyszczał rozsądek, ogrzewała ją miłość a jedność dawała jej odwagę i możność i siłę: a teraz już wszystkie głowy pijanym zakręciły się szałem, spienione usta miotały złością i nienawiścią, przeciwko sobie ściskały się pięście, a w tem rozdarciu i zakłóceniu objawiły się w przerażającej nagości bezsilność, maleństwo i nicość całej rodziny....

Tak myślał Dobiesław — i dziwnie ciężko mu się zrobiło na sercu. Wszystko mu już obrzydło, jego rodzinne szczęście stało mu się ciężarem. nawet samo życie na takiej ziemi wydało mu się jakoby karą piekielną.

Po małej chwili przyszła żona do niego, położyła swą białą rękę na jego czole, z przestrachem spojrzała mu w oczy i rzekła:

— Dla Boga, mężu! co tobie?

— Dziecko moje! — rzekł jej Dobiesław, — nie dziw się mojej zgryzocie. Ażaliż nie widzisz, co się koło nas dzieje? ażaliż nie wiesz, jak ja kocham ojczyznę?

— Oh! i ja ją kocham, mój drogi!—Ale mam jeszcze w Bogu nadzieję...

— Już tylko w Bogu! — powtórzył gorżko Dobiesław, — miej ją: nadzieja to szczęście! Ale wiedz o tem, że czasy cudów już dawno minęły.... Nie zbawił nas Bóg swoim cudem natenczas, kiedy nas do krwi smagały złe losy: o ileż mniej zbawi nas teraz, kiedy się sami smagamy!

— Ależ zmiłuj się, mój kochanku! — zawołała niecierpliwie Klotylda, — dlaczegóż tak cierpieć? dlaczegóż coś przeciw temu nie radzić?

— Cóż robić?

— Ja nie wiem; ale coś trzeba robić, coś mówić, trza się przynajmniej pokazać i zawołać: — Czekajcie i oto i ja jeszcze żyję i jestem! — Dlaczegóż szlachta.... oh! ta nasza szlachta! ażaliż potrzeba aż minę prochu pod nią podsadzić, ażeby dała znak życia? — Jeżeli tak jest, to i to trzeba: to bądź i ty taką miną!

— Szlachta nasza.... rzekł na to Dobiesław, — ja nie wiem istotnie, czy ona żyje. Ja jej nie widzę... Widzę, że jeszcze posiada majątki, że na nich gospodaruje, że stawia gorzelnie i młyny, buduje koleje, zakłada Towarzystwa i szkoły rolnicze, ma swoje kluby i wyścigi: ale ażeby żyła życiem publicznem, tem żywem życiem tej ziemi, którem dziś każdy student oddycha, ja tego nie widzę.... Jednak moje dziecko kochane! nie dziw ty się temu i nie dorzucaj nowej klątwy do klątew tysiąca, które rzucono na szlachtę. Bóg może ją będzie sądził inaczej, ale my ją sądźmy po ludzku. Szlachta była przez tyle wieków sama jedna narodem. Jak przez te wieki wypełniała tę ciężką służbę, ile potem poniosła poświęceń i ofiar, męczeństwa i śmierci, wszystkim to jest wiadomo. Była ona czynną do ostatniego dnia, do ostatniego oddechu... Ale odkąd powstało nowe stronnictwo w narodzie i wyklęło ją z między żyjących; odkąd niemal cała krzykliwa literatura stała się jednym wielkim paskwilem na szlachtę; odkąd każdy człowiek, który się odważy głos zabrać w sprawach publicznych, bywa ściąganym na bruk ulicy i oddawanym pod sąd opinii ulicznej, pod jadowitą ślinę plwaczy publicznych, i bicze kręcone ze szubienicznych powrozów.... odtąd, nietylko szlachta, lecz wszelki duch poważny i pracowity, usunął się na bok i pozostawił arenę społeczną bohaterom nowego ducha i kroju. Czy dobrze tak ci ludzie zrobili? czy nie powinni zawsze tak kochać ojczyznę, ażeby się dla niej dawali opluwać, biczować i na swe głowy cierniowe wciskać korony, a choćby nawet krzyżować: oh! to inne pytanie! Czy im brakuje odwagi, czy siły, czy woli: to Bóg kiedyś osądzi. Ale gdy człowiek sądzi, powinien pamiętać: że pójść świadomie i dobrowolnie pod plwanie i bicze pospólstwa, pod krzyż i cierniową koronę, dotychczas — tylko Chrystus potrafił....

— Ach! więc już wszystko stracone! — zawołała Klotylda.

— Ja tego nie mówię, — odpowiedział jej mąż, — któż z nas jest wieszczem? — Ale dzisiejszy dzień jest straszliwy, bo stawia nas nad brzegiem przepaści. Nie śmierć nas czeka, tej dla nas niema: ale wieczna nas czeka ohyda i pogarda całego świata. A to gorsze niż śmierć....

— O! Boże! Boże! — zawołała ciężko stroskana Polka, — czyż-by nie było już żadnego miłosierdzia dla nas u Boga? czyż-by w nas samych, w naszych dziejach tak wielkich, w naszych cierpieniach tak wzniosłych, nie było już żadnej myśli tak żywej, żadnego tak twórczego natchnienia, ażeby nas mogło oświecić, pogodzić i na powrót zespolić?...

Dobiesław milczał, — i cisza była w komnacie.

A wtem dał się słyszeć głos dzwónka i silny turkot przed gankiem pałacu. W tej prawie chwili wbiegł sługa i zapowiedział, że jakiś gość nieznajomy i nigdy tu nie bywały, bardzo ubogim wozem ale bardzo dzielnemi końmi, zajechał w ganek i pyta o pana. Ale Dobiesław był w tej chwili tak martwy, że nawet go nie rozumiał i ani się ruszył — a tymczasem i ów gość niespodziany wszedł do sali.

Zaprawdę było to dosyć dziwne zjawisko.

Gościem tym bowiem był starzec prawie zgrzybiały, ale prześlicznej starości. Olbrzymiego był wzrostu i zbudowany niezmiernie barczysto: lecz cała postać jego była tak wysuszona, iż zdawał się być nie człowiekiem, lecz duchem. Jego twarz była prawie tak biała jak marmur, a czoło wysokie i wzniosłe gęstemi poorane zmarszczkami. Na jego głowie snuły się już tylko resztki włosów, miękkich i białych jak puchy łabędzie, a od twarzy spływała bielutka broda, rozwiana lekko jak sen zimowy na piersiach. Na jego twarzy siedział spokój tak cichy, o jakim mogą zamarzyć zaledwie duchy niebieskie, a który na ziemi mogą wyrobić chyba wiekowe cierpienia; tylko z jego błękitnych oczu, osadzonych głęboko i krzaczystemi brwiami okrytych, błyszczały jeszcze jakieś resztki promieni ziemskich. Ubrany był ten starzec w jakąś suknię szeroką i długą z granatowego uszytą sukna, ze szerokiemi rękawy, co mu jeszcze tem więcej dodawało powagi. Jakoż w ogóle cała ta postać miała w sobie coś dziwnie niezwyczajnego: i wyglądała nie jak żyjąca istota, ale jak gdyby myśl w widome odziana kształty — jak wieść przybywająca z daleka — jak gdyby jakieś dawne, całkiem już zapomniane wspomnienie...

Tak wszedł i stanął niedaleko ode drzwi i tak go tam owe ostatnie zachodzącego słońca oblały blaski — a on tymczasem szukał zwiędłemi oczyma po sali, gdzieby w niej znalazł teraźniejszego tej posiadłości dziedzica.

Obaczywszy go Dobiesław, zbudził się, zdziwił się bardzo i rzekł do żony:

— Patrzaj-no Klodziu! jaka-to postać jakby ewanieliczna.

Zaczem zerwał się prędko, wyszedł ku niemu i mając go za mnicha, rzekł głosem zwyczajnym:

— Niech będzie pochwalony... Zkąd-że Pan Bóg prowadzi?

Lecz starzec ujął go silnie za rękę i zaprowadziwszy ku oknu, wpatrzył się w jego twarz; a po chwili rzekł:

— Dobiesław? ani jednego rysu nieboszczki Klaudyi!...

Poczem się oparł o okno i zamyślił się smutno.

Te słowa były wypowiedziane głosem takim głębokim i drżącym, iż Dobiesław uczuł się jakoś dziwnie wzruszonym i jakby nie swoim. Zdawało mu się, jakby do niego przemówił duch lub umarły. Dopiero odetchnąwszy z całej piersi, ośmielił się trochę i rzekł:

— Tak... Klaudya to była moja matka... A Jegomość któż jesteś?

Zbudził się na to starzec i machnąwszy ręką przed siebie, rzekł jakby nic:

— Ja jestem Szydłowski...

— Szydłowski! mój dziad! — zawołał na to Dobiesław, wzruszony do samej głębi — ojcze mój drogi! mój święty! ty żyjesz jeszcze?... Oh! jakiż Bóg ciebie natchnął, żeś ty nawiedził progi mojej chaty nieszczęsnej! Tyś zdjął najcięższy grzech z mego sumienia...

Od chwili już stała przy nim Klotylda — a teraz rzucili się przed nim oboje na ziemię, całując drżącemi usty jego zimne sandały; na których jeszcze błyszczały iskierki lodów Sybiru.

A starzec się pochylił nad niemi i błogosławiąc im, mówił:

— Jesteście pełni czci i miłości, niech-że wam Bóg, za to odpłaci swem miłosierdziem...

A w tej chwili stał już przy nim Wapnowski i witał go ze czcią świątobliwą, dotykając się brzegu jego szaty męczeńskiej.

I przybiegł Mateusz i w pokorze swojego miłościwego serca klęknął na ziemi zdaleka, złożył ręce jak do modlitwy i patrzał w tę postać poważną jak gdyby w obraz cudowny.

I pozbiegali się domownicy i słudzy, patrząc zdaleka i pytając z zdziwieniem: — Pielgrzym-to jest, który powraca ze ziemi świętej? czy prorok? czy apostoł Chrystusa Pana?

Tymczasem starzec rozmawiał z Wapnowskim i mówił:

— Znam ciebie i wszystkich twych ojców i dziadów, którzy są moim wnukom pokrewni. Błogosławieństwo Boże niech będzie z wami, że miłość wasza rodzinna dotąd jest niespożytą...

Zaczem spojrzał na Mateusza i spytał:

— Któryż jest człowiek, co klęczy? pobożny, grzesznik czy faryzeusz?

Odpowiedziano:

— Żołnierz-to stary, który walczył za Polskę przez całe życie, a teraz czeka zmiłowania Bożego.

— To chodź tu! — zawołał starzec do niego — i podaj mi rękę. Jam także żołnierz, który walczył za Polskę: ty pracą ciała i krwią, a ja pracą ducha

i męką. Chodź, niech cię do mojej piersi przycisnę i niechaj w tem zespoleniu słowo stanie się ciałem, na chwałę Boga i pożytek naszego zakonu.

Ale grzeszny Mateusz rzekł:

— Panie! nie jestem godzien, abym się kładł na piersiach takiej świętej ofiary. Ale połóż tylko twe ręce na mojej głowie:

I położył starzec ręce na jego głowie — i serce jego odrodziło się w dawnej miłości i pokorze.

I przybiegli z kolei obadwa kapłani. Kanonik wołał:

— Bądź pozdrowiony, ojcze nasz ukochany! Tyleśmy tutaj nad twojem męczeństwem cierpieli, tak'eśmy ciebie pragnęli, twojego przyjścia wyglądaliśmy zawsze jak zbawienia. Niech-że ci Bóg da, ażebyś serca nasze naprawił a drogi nasze sprostował.

A Grzegorz stał zdaleka, pełen podziwu i sromu.

A starzec mówił:

— Dzięki niech będą tobie, sługo Chrystusów, żeś o mnie pamiętał natenczas, kiedym był jako umarły dla wszystkich. Listy twoje były jedyną miłością żyjącą dla mnie na ziemi, a modlitwy twoje jedyną moją nadzieją. I wysłuchał Bóg twego błagania, i stało jego słowo nademną, i powróciłem do was, ażeby kości moje spoczęły w tym grobie, gdzie duch mój tak często modlił się Bogu za wasze szczęście i zbawienie...

Zaczem wzniecono światła, zastawiono stół jadłem i napojem, zasadzono świątobliwego starca za stołem, a wszyscy jemu służyli. I każdy się cisnął ku niemu wypytując troskliwie o jego męki i cierpienia. Ale on dzisiaj skąpemi udzielał się słowy. Widać tylko było iż gdyby był chciał, to miał o czem mówić, bo rzekł:

— Zaprawdę powiadam wam, iż cierpiałem daleko więcej, niżeli wypowiedzą usta człowieka.

I widać było, że był-by umiał to opowiedzieć, bo miał pamięć cudowną, i wymowę niezwykłą i umysł głęboki a jasny i prawie natchniony. Głowa jego sędziwa się trzęsła od starości i cierpień: ale wiedział o wszystkiem, co się działo w Polsce nawet natenczas, kiedy go w niej nie było — znał wszystkie jej wojny i klęski i sprawy, jak gdyby był im przytomny —a kiedy mówił, to jego słowo było okrągłe jak kula i jak kula trafiało do serca. Toż każde jego słowo chwytali wszyscy łakomie: starzy i młodzi, kobiety i dzieci.

Ale on mało mówił tego wieczora. Natomiast zaś kazał sobie opowiadać życie i śmierć Klaudyi, ostatnie czyny jej męża i wszystkie losy jej synów. Nie było tego wiele; życie nasze takie ubogie; prędko się to opowiadanie skończyło. Zaczem ich dziad podniósł się z miejsca i rzekł do wszystkich:

— Łaska Boża niech będzie z wami...

A do kapłanów powiedział osobno:

— Prosimy o mszę świętą na jutro.

I odszedł.

Nazajutrz rano była msza święta w pałacowym kościółku. Przyjechał na nią Krzesław i Wichr i żona Krzesława i dzieci. Starzec ich witał bez żadnej różnicy od innych, lecz przypatrywał im się z uwagą. Na mszy się modlił gorąco, klęcząc przez cały czas nabożeństwa na środku świątoui. A po mszy rzekł do kanonika:

— Oddaliśmy cześć Panu Bogu, a teraz na nas czekają umarli. Chodźmy do grobów.

Otworzono obszerne podziemie kościoła, wpuszczono weń światło przez kraty żelazne i wszyscy weszli koleją. Trumny tam stały jedne przy drugich, już popsute niektóre a inne całe, te z napisami na blachach, drugie już bez napisów. Na samym brzegu stała trumna śp. Klaudyi. Starzec stanął nad nią, załamał ręce, i widać było po nim, że cierpiał boleśnie. Do koła niego głuche panowało milczenie, słychać tylko było cichy szept modlących się dzieci i wnuków. Nareszcie starzec westchnął głęboko, skinął ręką ku trumnie, jak gdyby się żegnał z nią do widzenia, i obrócił się do żyjących. I wskazując na inne trumny rzekł do obydwóch braci:

— Którzyż są, co tutaj leżą?

Wtedy Dobiesław wystąpił naprzód, oprowadzał starca do koła i mówił:

— Tu leży Krzysztof, który był zwany mężem żelaznym. Bił się przez całe życie i nigdy nie przyjął żadnej za to nagrody... Za trumną jest próżna, lecz poświęcona jest pamięci Adama, który miał Szydłoską za sobą. Ten dostał się pod Parkanami w niewolę turecką, był w Carogrodzie męczony za wiarę, lecz wytrwał i zginął śmiercią męczeńską na palu.... Tu leży syn jego Błażej, który sobie poprzysiągł póty w poczciwej pracy nie spocząć, póki ostatni wróg nie ustąpi z granic Rzeczypospolitej. I doczekał się tego; i umarł w świątobliwej pokorze... Tutaj leży nasz pradziad Jozafat, który umarł ze sromu przed niezasłużonym zaszczytem.... Tu jego syn Bernard, który umarł z boleści nad utraconą ojczyzną... Tutaj nasz ojciec Seweryn, który zginął z rozpaczy, że jej nie mógł odzyskać....

Zamyślił się starzec na chwilę, jak gdyby leciał pamięcią w te czasy dalekie; ale prędko się zbudził i rzekł:

— A gdzież leży ten, który całej ojczyzny ukochać nie umiał, nie bił się za nią z wrogami, nie cierpiał i nie umierał — a natomiast kochał tylko myśl swoją, żył nienawiścią i złością, braci podszczuwał na braci, sądy stanowił, zdrady wymyślał, klątwy rozrzucał i wodził się za łeb po domu, na wstyd i hańbę narodu?

Na takie pytanie wszystkie się wstrzęsły sumienia i wszyscy ze sromem spojrzeli po sobie — a Dobiesław odpowiedział:

— Nie było nigdy takiego w naszej rodzinie.

— Jakżeż jesteście szczęśliwi, — rzekł na to starzec, — że taki wzór macie w swych ojcach! Jakżeż musicie być pełni miłości wzajemnej, jak silni waszą jednością i jak gotowi do nowych walk i poświęceń! Bóg niechaj będzie z wami! Wielką jest

wasza potęga i żadna moc jej nie złamie. I wyszli z grobów, i powracali do domu.

A lud wiejski zgromadził się przed kościołem, pozalegał drogi i ścieszki, i cisnął się do starca, aby go tylko obaczyć. Jedni się przed nim rzucali na ziemię, drudy dotykali się szat jego a trzeci wołali zdaleka: — Ileż łaski u Boga musi mieć ten, który naszej świętej pani był ojcem i nauczycielem!

I starzec rozmawiał ze starszymi z gromady, wypytywał ich o wspomnienia Klaudyi, o warsztacik i szkołę, i błogosławił ich żonom i dzieciom. Zaczem przyszedłszy w ganek pałacu. rzekł do otaczających go:

— Ten lud jest dość rozgarniony. Rozjaśniła mu umysł nadana mu własność i swoboda. Ażaliż rozjaśniło się w nim zarazem jego narodowe sumienie?

A Dobiesław rzekł:

— Podobno nie nam jeszcze tego doczekać! Ten lud jest zawsze jeszcze ciemny i nieświadomy.

A starzec na to:

— Zaczem jesteście jeszcze zawsze tam, gdzie my byliśmy naszego czasu. Idea jest i dobrą jest, ale bezużyteczną na teraz, bo ciała jej braknie. Niechaj więc będzie i niech ją praca powszechna pokrzepia, wzmacnia, rozwija: ale tymczasem niepodobna jest po niej stanowczych spodziewać się czynów. A kiedy tak jest: jakaż-to mała garsteczka jest was do ofiar, poświęceń i pracy! Zaprawdę powiadam wam, jeżeli i ta garsteczka jeszcze nie jest jako-by jedna rodzina, jeżeli jeden duch w niej nie żyje i jedno nie bije w niej serce: to po was jeszcze tem mniej jakichbądź można spodziewać się czynów...

I weszli do sali — a starzec rozmawiał z wszystkimi, oświecając się od nich o rzeczach krajowych.

Na drugi dzień pojechali wszyscy do Krzesława; bardzo gościnnie od niego przyjęci.

A kiedy wrócili, rzekł Szydłowski do Dobiesława w obec całej jego rodziny:

— Krzesław mi się podoba, bo jest pracowitym i nagromadził znaczne zapasy. Używaż on ich tak, jak człowiekowi zacnemu przystało?

Dobiesław powiedział mu całkiem otwarcie, jakim Krzesław był niegdyś i jakim dziś jest. A starzec na to:

— Smutno-to dla nas, jeżeli są pomiędy nami grzesznicy. Ale wielką na to pociechę zostawił nam Chrystus, który powiedział: — „Zaprawdę powiadam wam, iż milszym jest Panu Bogu jeden grzesznik nawrócony, niżeli stu sprawiedliwych.“ — Otóż i wy nie powinniście odtrącać od siebie grzeszników, a owszem otwierać im drogę poprawy na ścieżaj.

A kiedy to mówił, Grzegorz i Mateusz pobledli, i nie uszło to jego bystremu wzrokowi.

Zaczem po chwili wziął Dobiesława do ogrodu i chodząc z nim długo po lipowej alei, rzekł w końcu:

— Jadąc tu do was, zatrzymałem się kilka dni w waszej stolicy, ażebym odpoczął po trudach podróży. I rozpytywałem się tam pilnie o wszystko, i czytałem co jest napisano. I dowiedziałem się, że jedni śpią, a drudzy pracują, a trzeci pożywają owoce swej pracy: ale i śpiący zrywają się ze snu, i pracujący powstają od swej roboty, i pożywający owoce swej pracy przestają jeść, ażeby się swarzyć zo sobą i lżyć i plugawić. Wielo jest napisano, ale daleko więcej tam jest, niżeli stoi na piśmie. Wyrozumiałem, o co rzecz chodzi: ale chociaż wyrozumiałem, zakrwawiło się serce moje w boleści.,. Cóż wy robicie? czy się także swarzycie?

Najbardziej obawiał się Dobiesław tego pytania, nie dla siebie, ale dla swojej rodziny. I zarumienił się, i łzy mu w oczach stanęły, i milczał. Lecz starzec rzekł:

— Powiedz mi wszystko otwarcie, bo ja acz nie przytomny ciałem, ale duchem przytomny, jużem was wszystkich osądził. Chcę tylke, abyś mi to sam opowiedział.

Zaczem opowiedział mu wszystko, jak było.

Długo chodził starzec w milczniu i poważnie rozmyślał. a potem rzekł:

— Zaprawdę powiadam tobie, ejako mówi Apostoł, iż najtrudniej jest nauczyć tego, który sam siebie nie uczy, i nie nauczyły go nieszczęście i utrapienie, poniżenie i prześladowanie. Który sprzeczny jest i nie przestawa na prawdzie, a wierzy w owoce zapalczywości i gniewu. Który sądzi brata swojego przed czasem, a nie czeka, ażby Pan przyszedł, który oświeci ciemności i objawi rady serc. Nie tuszę sobie nic, bom jest najmniejszy u Boga. Ale chciał-bym was kiedy mieć wszystkich zgromadzonych około siebie....

Zaczem szedł i rozmawiał z każdym z osobna, z Wichrem i z Krzesławem, z Wapnowskim i z kanonikiem, z Grzegorzem i Mateuszem, dla każdego pełen miłości i wyrozumienia. I trwały te rozmowy przez parę dni.

A Dobiesław tymczasem myślał, jakoby wszystkich zgromadził.

I był dzień ciepły i cichy, i pochylił się już ku wieczorowi. Niebo było posępne i wielka duszność była w powietrzu; ale kiedy-by miały spaść deszcze albo srogie się rozlać ulewy, to chyba aż rano, bo chmur deszczowych jeszcze nie było. Dlatego Dobiesław kazał stół nakryć pod gołem niebem, w chłodzie tych drzew rozłożystych, w których mieszkały dobre duchy ubiegłych wieków. I rozwieszono lampy na drzewach, ażeby nocną rozświecić ciemnicę; i zastawiono stół dary bożemi. I zgromadzili się wszyscy domowi, i przyjechał Krzesław i Wichr, i przyjechało kilku sąsiadów. I zaproszono starszych z gromady, i podstarościch, i sług, celujących zacnością i pracą. I zasiedli wszyscy do stołu, a starcowi dano miejsce przedniejsze, jako jest we zwyczaju naszego narodu. I posilali się wszyscy, łamiąc chleb między sobą i pijąc wino z jednego kielicha. A kiedy nowy kielich nalano starcowi, on go postawił przy sobie i rzekł:

— Nie w winie jest prawda, jako mawiali starzy, lecz w słowie.

*

Zaczem otworzył usta aż dotychczas zamknięte, i zaczął opowiadać dzieje swojego męczeństwa, a zarazem i dzieje męczeństwa narodu. Bo kiedy on cierpiał, wielu cierpiało, a cały naród cierpiał nad niemi. I opowiadał, jak swego czasu zbudził się duch w południowych krainach Polski i Rossyi, jak starzy i młodzi, wielcy i mali, ubodzy i możni, związali się sercem ze sobą, wskrzesili w sobie nadzieję, odwagę i ducha ofiary, i szerzyli to wszystko coraz dalej i dalej. Jak wybierali z pomiędzy siebie pewniejszych i lepszych, ale nie odtrącali nikogo, ażeby ich zakon stawał się coraz pełniejszym; jak nigdy nie odkrywali przed wrogiem tych z swoich braci, którzy nie mieli wiary, ani tych, którzy nie mieli odwagi, ani tych nawet, którzy byli niechętni, ażeby rzecz stała przed wrogiem i światem, że u wszystkich jedna jest wiara i jedna odwaga. Jak takiem pełnem miłości działaniem przygarnęli moc ludzi do siebie, i w wielką wzrośli potęgę, i objęli swem sercem i duchem, nie jedną warstwę społeczną, lecz wszystkie, nie jedną krainę lecz cały naród; nie jeden naród lecz wiele. Ale trza było ofiary.... I odkryto ich, i pojmano, i zawieziono do ruskiej stolicy, która jest zbudowana na błocie i jest błotnistą plamą na ciele świata. I wrzucono ich do ciemnic głębokich, i spętano żelazem, i szukano na nich świadectwa. I znalazło się na nich świadectwo, jako są winni przeniewierstwa i buntu. I jednych pogubiono, a drugich wygnano, a jego, który to powiada, popędzono na Sybir. I szedł, dźwigając swe więzy krzyżowe, morzony głodem i nędzą, policzkowany i bity: a za nim z carskiej stolicy skrzypiało na wietrze pięć szubienic, pięć ofiar, pięć krzyżów....

I opowiadał dalej, jako został zapędzon w te kraje, gdzie kryształowe skały odwiecznych lodów iskrzą się w słońcu we wszystkie kolory tęczy, gdzie ciało człowieka zamarza jak w grobie, a tylko duch żyje życiem niebieskiem. I jest ta ziemia jako kraina duchów. I opowiadał, jako tam zastał jeszcze konfederatów barskich, pojmanych przez Drewicza i Apraxyma; i tych, którzy się bili przeciwko Moskwie za czasów Kościuszki; i tych, którzy walczyli w imieniu Polski pod sztandarami Napoleona: i wielu innych późniejszych. I jest ta ziemia jakoby duchową wszystkich pokoleń polskich osadą. I opowiadał, jako jedni z tych nieszczęśliwych mieli rany na głowach, a drudzy rany na piersiach; ci mieli łokcie poróścinane jak u kontuszów wyloty i nagie im ztamtąd świeciły kości, a tamci ciała poszarpane knutami. I jest ta ziemia jakoby żywem męczeństwem Polski. I widział on te półsenne postacie, siadające na niebotycznych skaliskach lodów, kąpiące się w zimnych promieniach syberyjskiego słońca, zakrzepłe ciałem, konające i już pokonane: a jeszcze zawsze otwartą źrenicą patrzące ku Polsce. I jest ta ziemia jakoby na wieki wieków trwającem Polski natchnieniem...

I podniósł głos i tak mówił dalej:

— Jam jest, który tam siadał na owych skałach lodowych i wytężał źrenicę ku Polsce, i cierpiał i tęsknił, i miał nadzieję i tracił. Miałem nadzieję po wiele razy, i traciłem ją wiele kroć. Miałem ją zawsze, ile razy wasz duch podniósł się aż do zapału i wystąpiwszy w całej swej wspaniałości przed światem, uderzał głosem i siłą jakoby jednego męża na zewnątrz; i traciłem ją zawsze, ile razy ten duch się rozdwoił i bratobójczą bronią począł wojować w swem własnem wnętrzu. A było tak wielekroć...

Widziałem was bowiem natenczas, kiedyście wstali orężnie i uderzyli na Moskwę. Pęd wasz był wtedy tak wielki, iż już myślałem, że wasze przednie straże oprą się lada chwila o lody Syberyi. Rzuciliśmy się na kolana przed wami, boście się bili jak lwy: któż wam tego nie przyznał? — Aleśmy prędko powstali z kolan i nowa boleść nasze serca rozdarła: boście się z sobą skłócili...

Poszliście potem w tułactwo, drudzy zostali w domu, cierpieliście jedni i drudzy, wrzucano was do ciemnicy, katowano, wieszano i rozstrzelano. Lecz pośród jęków boleści, przy odgłosach morderczych strzałów, pod cieniem skrzypiących nad wami szubienic: ażaliście się kochali, pokrzepiali nawzajem, wzrastali w ducha, potęgę i siły? Nie. Wyście się z sobą kłócili...

I potem wasz duch niezgody, duch gorący lecz ślepy, wywołał głos rozpaczliwy, szalony. Korzystali z tego w piekielny sposób szatani. Tysiące ofiar padło w domu i na polu, a krew zalała ziemię strugami. Kraj zamienił się w dziką pustynię, a na dymiących zgliszczach ciężka zasiadła żałoba. Ażaliż z nią razem zasiadła pomiędzy wami pokora, ów pierwszy oddech przybywającej mądrości? Nie. Na brzegach całego morza wylanej krwi, na puszczy jeszcze niezgasłemi zasianej zgliszczami, wyście się z sobą kłócili...

Za chwilę potem nadeszła pora, w której-byście byli mogli wiele złego naprawić, bo było wam dano, stanąć jako jeden mąż w obliczu świata i zniewolić go do szacunku i miłości dla siebie. A wy, jakżeście skorzystali z tej pory? Oto zakipieliście gniewem i złością przeciwko sobie i obryzgaliście błotem wasze własne postacie, i stanęliście nadzy i obłoceni przed światem, i podaliście się sami na pośmiewisko i urąganie waszych nieprzyjaciół. A nieprzyjaciele wasi skorzystali z tej waszej lekkości, i podali was dalej, i osławili was, i zamienili w szatanów, i przez wiele lat potem dzieci wami straszyli u siebie...

Boleśne to przypomnienia i straszne: usta drewnieją język się cofa, kiedy je musi wymówić. Ale zaprawdę powiadam wam, niepoprawny-to grzesznik który się nie zdobędzie na spowiedź serdeczną. I zaprawdę powiadam wam, że jeszcze tego Bóg nie odtrącił od siebie, na kogo zesłał doświadczenia i próby choćby najcięższe, jeśli mu tylko zostawił czas do poprawy. A wy, jesteścież umarli czy żywi? Bez wątpienia, że żywi. A więc jeszcze nie wszystko stracone...

Ja wieszczem nie jestem i nie wiem co będzie; lecz widzę, iż dzisiaj znowuście odpoczęli i jesteście pełni ognia i siły do pracy. I widzę, że lada dzień, lada chwila, staniecie znowu z rozwartą piersią przed światem. Jakżeż się przygotowujecie do tego? Splugawieni gorżkiemi owocami waszej niezgody, jesteście dziś zgodni pomiędzy sobą? Rozdzierani niemocą wewnętrznych swarów, jesteścież dziś silni jednością? Pobici tylekroć waszą bronią własną, złością i nienawiścią, jesteścież dziś pełni miłości?

Ja nie wiem: ale nie wątpię.

Nie wątpię o was, bo wierzę, iż przecież choć teraz jasno swe sprawy widzicie.

Taka rodzina, która dziś dwoi się w sobie i drze się, jakżeż jest nędznem i brzydkiem mrowiskiem! Dla takiej rodziny, która w przededniu wielkiego sądu pośród pijanych okrzyków i wrzasków idzie ze sobą za łby, nikt nie może obudzić w sobie ani iskierki miłości! Nad taką rodziną, która natenczas kiedy cały świat zwrócił na nią swe oczy, rozdziera własne swe szaty, ażeby okazać swe rany niezagojone i wrzody ropiące, nawet sam Bóg nie może mieć miłosierdzia!

Ażaliż jest między wami choć jeden, który-by tego nie widział?

Ja tak nie sądzę.

Ażaliż jest, który-by widział i zdradzał sprawę powszechną świadomie?

O nie! zaprawdę, że nie. Takich nigdy pomiędzy nami nie było.

A zatem wyrzućcie z serc waszych wszelkie do kłótni powody — i zrzućcie ze siebie nawet kłótni pozory — i niechaj ani cień nie zostanie, żeście się kiedy ze sobą kłócili.

I niechaj cała przeszłość was wszystkich i każdego z osobna zapadnie w grób niepamięci na zawsze — i niechaj droga do nowych zasług stanie otworem dla wszystkich i dla każdego.

I stańcie się wszyscy jako jeden mąż o milionie serc i twarzy milionie — a wszystkie serca niechaj się zrosną ze sobą na wewnątrz — a wszystkie twarze niech się obrócą na zewnątrz.

I bądźcie jakoby posąg olbrzymi z jednego odlany kruszczu, stojący niewzruszenie na swojej ziemi rodzinnej a chowający swojego ducha w spiżowem objęciu. Ma on rękę wzniesioną do góry, bo gotów jest rozbryzgnąć każdego w kawałki, kto-by go nieprzyjaźnie zaczepił, — ma głowę wzniesioną do góry i nogę wprzód wysuniętą.

Tak stoi i zda się, jakoby był martwym i nieruchomym.

Ale przyłóżcie ucho do jego boku, a usłyszycie tam wewnątrz nieustające szepty i szmery.

Cóż się tam dzieje?

Oto on ciągle pracuje nad sobą w cichości, ażeby się stawał coraz silniejszym.

On się modli pokornie, ażeby powyrzucał resztki cudzych Bogów z swej piersi a swoich natomiast postawił.

On przypomina sobie rocznice swoich tryumfów i zwycięztw, i wspaniałą je święci modlitwą.

On zlewa swoje uczucia we wspólne serce, jakoby w jedną dłoń ściska swe siły — i z każdym dniem, z każdą godziną, widać na jego twarzy coraz jawniejszy wyraz jednolitości, świadomości i siły.

Tak i wy stańcie, słowem i czynem. Mówcie odważnie i śmiało: — Oto jesteśmy! — I takie niech będą wasze uczynki, ażeby wiedziano, że istotnie jesteście.

A jakie mają być wasze słowa i wasze czyny, o to się wcale nie troszczcie: bo powie to wam wyraźnie duch boży, który się wtedy nad wami uniesie...

Cóż? czy się jeszcze wahacie?

Przez tego Boga, który wam oddał ziemię tak miłościwą i przyjął pomiędzy swe hufce orężne....

Przez Syna Jego, który was uczcił i ubłogosławił cząstką swojego krzyża...

Przez bohaterów i świętych waszego narodu którzy zsyłają na was promienie swej chwały...

Przez święte prochy i kości waszych męczenników i ofiar, po całym globie rozsiane...

Przez wasze własne męki i cierpienia...

Reszty już nie mógł starzec domówić. Albowiem w tej chwili rozniósł się głośny płacz w całej rodzinie i wszyscy się sobie rzucili w ramiona. Wichr leżał na piersiach Dobiesława, Grzegorz padł na kanonika, Mateusz całował ręce Stanisława a wszyscy inni starce, kobiety i dzieci, rzucili się na kolana, płacząc i jęcząc z wzruszenia. A starzec podniósł oczy i ręce ku niebu i czynił Bogu pokorne dzięki cichą modlitwą. A kiedy się modlił, słońce się wybiło z pomiędzy chmur, złotym oblało blaskiem tę bogobojną rodzinę— i rozpoczęło dzień nowy na ziemi.

Na grobie matki.

Na cmentarzu rosną głogi i powoje,
Koło krzyża stoi biednych sierot troje —

— „Matkoż moja matko! starsza córka woła,
Mam błękitny kwiatek — mam go z rąk anioła —

Anioł mi ten kwiatek podarował we śnie
Gdym za tobą matko płakała boleśnie.

I oto ten kwiatek składam na twym grobie,
Kwiatek ten cudowny wróci życie tobie!“ —

— „Kwiatek ten cudowny nie nada mi siły.“
Rzekła do sieroty matka z pod mogiły. —

Młodsza córka woła: — „Matko! na twym grobie,
Składam łzę wylaną z tęsknoty po tobie;

Łza moja gorąca z pod serca ukrycia
Wróci tobie siły, przywoła do życia.“ —

— „Żadne łzy gorące, żaden płacz niewieści,
Nie przyda mi siły, nie skoi boleści.“ —

Przy małych dziewczynkach stał braciszek młody,
Niebieskie miał oczy, czerwone jagody.

I dzielne spojrzenie miał w niebieskiem oku
I małą, blaszaną szabelkę przy boku.

I odpiął szabelkę i na grobie składa
— „Nie odpinaj Jasiu, matka mu powiada,

Z szabelką przy boku będzie ci radośnie,
A gdy na cię patrzę, serce moje rośnie.

W tobie mnie nieszczęsną pocieszy Bóg wielki.“ —
Siostry zazdrościły Jasiowi szabelki. —

-y-

Dramat polski w ostatniem pięcioleciu.

I.

Jedna z przyczyn ubóstwa dramatu—repertoar sceniczny—konkursa.

(Ciąg dalszy.)

Obecnie zwolniały te stosunki, ale nie uległy przeobrażeniu w tamtych stronach kraju. Dotąd jeszcze prace *J. Korzeniowskiego* wciskają się przemocą na scenę warszawską, innym zaś pisarzom zaparta droga przeszkodami niemal niezwalczonemi. Trzeba je odważnie zdobywać, tylko potęgą osobliwej protekcyi i faworów, częstokroć za zrzeczeniem się wszelkich korzyści.

Okoliczność ta była głównym powodem, te w Królestwie i na Litwie zaniechano uprawy niwy scenicznej. — Gdy dramatu bowiem nie przyjmowano na scenę nie przyjęto go też do żadnego pisma zbiorowego lub czasowego. Wydawcy pism bowiem okazywali niemal do ostatniego lat dziesiątka jakiś rodzaj wstrętu przeciw wszelkim pracom, ujętym w dyalog; sądzili też, że i czytelnik niechętnie widzi dyalogi w kolumnach dziennika. W obec takich trudności potrzeba było niezwykłego popędu do prac podobnych, aby się nie zniechęcić, nie złamać pióro narażone na nieuznanie pracy.

Tą wytrwałością wyróżnił się *J. Korzeniowski.*

Utwierdziły go w raz obranej drodze, tylko scena lwowska i krakowska, na których zasłynęły jego dramata. Sceny te odznaczały się doborniejszym repertuarzem niż warszawska, bo były swobodniejsze pod kierunkiem osób prywatnych, mimo że pierwsza miała rywalizacyą ze sceną obdarzoną przywilejem.

Dzisiaj nie zmienił się ten stosunek — a dla sceny krakowskiej wypadł on tak niekorzystnie, że ta, aby ratować byt swój, musi przez półrocza tułać się po małych miasteczkach.

Najgorzej dzieje się w Poznańskiem, tam scenie polskiej takie postawiono warunki egzystencyi i to tylko na czas kilkotygodniowy do roku, że istnienie jej tamże jest niepodobne.

W obec tych niekorzyści przeszkadzających dźwignięciu się sceny polskiej, mogłyby dramat podnieść jedynie dobra wola i zdolności dyrektorów scen, ci bowiem poszukując i garnąc ku sobie dzieła oryginalne wywołaliby potrzebę tworzenia tych dzieł, rózszerzyliby pole popisowej onych na scenie. Przy najlepszych chęciach, przy największych zdolnościach dyrektorów scen, widzimy odłogiem leżący repertoar. W tym kierunku mało co postąpiono — częstokroć nie widno postępu.

Takich dyrektorów scen, jakiemi byli *Kamiński, Osiński, Meciszewski, Bogusławski* nie było więcej, i nie prędko znajdą się im podobni. Powody tego są różne, częstokroć materyalne, częstokroć umysłowe. Jedni boją się rezykować na straty i zawód, drudzy nie umiejąc dobrego od złego rozróżnić, przez przyjęcie złej oryginalnej sztuki i przez jej upadek, uprzedzają się przeciw wszelkim innym pracom naszych pisarzy. — Zresztą łatwość nabywania tłumaczeń bez zapłaty lub za zapłatą jak najskromniejszą przyczynia się przeważnie do tego, że tłumaczenia najłatwiej wciskają się na scenę, a to z uszczerbkiem dzieł oryginalnych.

Z tej obojętności dyrekcyi teatralnych z tego zachowania się sceny względem pisarzy scenicznych — wyniknęły następstwa smutne, mianowicie iż wszelkie konkursa dramatyczne chybiają celu. — Scena nic a nic z nich nie korzysta, bo scena nieraz wygrywającym dziełom wrót nie otworzy, a tem mniej troszczy się o prace drugiego rzędu, które do konkursu stanęły, lecz nie wygrały.

Dla tego też historya konkursów zawsze jest smutna, mierności zwykle odważają się do popisu występywać. Ze zdolniejszych dramaturgów rzadko który kwapi się z posyłaniem dzieł swoich, bo wie, że przez konkurs nie dostanie się dzieło jego na scenę — bo wie, że taki konkurs nie ma celu i nie ma rezultatu.

Konkursów dotąd było sześć. Około *1808 Towarzystwo przyjaciół nauk* ogłosiło nagrodę 100 dukatów za najlepszą oryginalną tragedyę z dziejów ojczystych. Zgłosiło się kilkunastu autorów, lecz nagrody nie udzielono. W r. 1820 wyznaczył *Ad. Dmuszewski* złp. 1000 za najlepszą komedyę, lecz i to zostało bez skutku. W r. 1852 *Kasyno lwowskie* rozpisało nagrodę za komedyą. Nadesłano 13 utworów, *J. Korzeniowski* zwyciężył. — Jakiej wartości były inne prace, nie wiemy, bo nigdzie nie ogłoszono o nich sprawozdania, a należało je uczynić, choćby nawet dzieła konkursowe nie zasługiwały na krytykę. — W r. 1858 *Edward Starzyński* ogłosił premium 2000 złp. za najlepszą komedyę. Nadesłano przeszło 20 utworów, z pomiędzy których *Józefa Korzeniowskiego Konkurent i mąż* uznany został za najlepszy. Drugą sztuką była komedya *Bogusławskiego Tak się dzieje.*

Nie dano jednak nagrody, lecz przedłużono konkurs do końca roku 1859. Wtedy otrzymały pierwszeństwo sztuki: *Dzieje serca*, *Po naszemu* a to z pomiędzy 40 sztuk nadesłanych. W r. 1859 ogłoszono konkurs tak zwany *Żółkowskiego*. Nadesłano 21 komedyi. Między temi *Apollona Korzeniowskiego* Majątek i imię otrzymała pierwszeństwo.

Obecnie rozpisał *Karol Kucz* konkurs na najlepszą komedyę. Nadto zapowiedziano, że *Korzeniowski* wyznacza nagrodę 2000 złp. za najlepszy dramat, i że *Juliusz Pfeiffer* zamierza (o czem atoli najzupełniej powątpiewam) rozpisać nagrodę za najlepsze dzieło sceniczne.

Na pięć konkursów nadesłano do stu utworów scenicznych, między temi podobno ledwie kilka znalazło się dobrych; piszę *podobno*, albowiem ani razu nie zdobyło się na sprawozdanie publiczne, wykazujące wartość każdego z osobna utworu. Po ostatnim konkursie napisał *Kaz. Kaszewski* coś w rodzaju sprawozdania, popisał dytyramby o *Dziejach serca* i o fraszce *Po naszemu* i o jeszcze jednej sztuce — a o reszcie zamilczał.

Tak się nie piszą sprawozdania. Łatwa-to rzecz potępić wszystko kilką słowy, bez wdawania się w rozbiór dzieł potępionych, ale tego nie wolno czynić sprawozdawcy konkursowemu. Kto wyrokuje, powinien upowodować swój wyrok, każdy dający pracę swoją na konkurs, ma prawo zapytać konkursowej rady jakie są motywa odrzucenia jego pracy?

Nie wolno krytykowi w takim razie stosować przysłowia o *Ryczywole*. Właśnie dla tego, że konkursa przeładowane bywają utworami więcej nie miernemi — należy mówić o tych miernościach i ochłostać je piórem krytyki, aby nadal odstręczyć kandydatów do berła po *Ignacym Marewiczu* i Hrabi *Zgierskim* kiszce z Ciechanowa. Szczegółowe sprawozdanie ma i tę korzyść za sobą, że wyprowadza na jaw takie sztuki, które lubo w żaden sposób do konkursu prawa mieć nie mogą, jednakowoż mogą wybornie nadać się do sceny. Tak n. p. takie sztuki jak: *Chłopi Arystokraci. Berek za i odpieczętowany. Twardowski na krzemionkach* i t. p. nie mogłyby stawać do konkursu, a jednak mają wartość swoją sceniczną.

W takiem sprawozdaniu należałoby zawsze mieć na myśli ten praktyczny wzgląd i starannie rozróżniać sztuki kwalifikującc się do konkursu, i sztuki niecelujące lecz przydatne dla sceny.

Inaczej pojmowane konkursa, to jest, traktowane tak, jak to dotychczas czyniono, chybiają celu, jakim jest wspieranie utworów scenicznych. Że celu chybiają, przekonaliśmy się praktycznie — bo z konkursowych sztuk ledwie jedna lub dwie i to tylko uwieńczone nagrodą dostają się na scenę i to dopiero po miesiącach wielu lub po latach kilku.

Dotychczasowe konkursa nie wywarły wpływu pożądanego, bo nie odnosiły się do sceny. Traktowały one utwory dramatyczne, wyłącznie jako zadanie literackie, jako pracę ksiażkową, a nie troszczyły się o ich zastósowanie sceniczne. Konkursa dramatyczne powinny ściśle wiązać się ze sceną i wyłącznie dobro sceny mieć na zadaniu.

Dyrektorowie scen, mogliby najsnadniej z korzyścią ogłaszać nagrody za sztuki, bo odbieraliby dzieła konkursowe w celu ich grania na scenie, i niezawodnie tak dzieła uwieńczone, jak i poślednie lecz nadające się do sceny, zamieściliby od razu na repertoarzu.

Aby więc konkursa wywierały lepszy skutek, należałoby porozumiewać się z dyrekcyami o ile możności wszystkich scen polskich, iżby zaraz po upływie konkursu, tak sztuki uwieńczone jak i wybrańsze, przyjmowały dyrekcye teatrów. (za porozumieniem się z autorami) na repertoar, i aby je odgrywano nie zwlekając długo. W takim razie, wzmacniałby się szybko repertoar nowemi utworami, a publiczność byłaby wyższym sędzią potwierdzającym, lub odrzucającym zdanie członków konkursowych. Na to jednak potrzebaby koniecznie zmówić się z dyrektorami scen, zawezwać ich do udziału w konkursie — a nawzajem ciż, powodując się dobrą wolą, powinniby pamiętać i na to, że tu idzie o dobre literatury scenicznej polskiej. Nie wychodziliby oni na tem źle, bo wiadomo z doświadczenia, że każda nowa oryginalna sztuka, a tem bardziej konkutsowa, choćby mniejszej wartości, ściąga na pierwsze widowiska tłumy słuchaczy. Nowość zawsze zaciekawia, choć nie zawsze bawi i zajmuje.

(*D. c. n.*)

OŚWIATA LUDU.

II.

W trzech ogniskach duchowych streszcza się, i z nich się rozpromienia oświata ludu: z k o ś c i o ł a, z o b y w a t e l s k i e g o p o ż y c i a i z e s z k o ł y.

Czem jest, czem winna być oświata kościelna dla ludu, o tem szczegółowo nam tu mówić nie wypada. Nie można jednak pominąć uwagi, że się bynajmniej nauce kościoła nie sprzeciwia, ale owszem bardzo istotną jej część stanowi owo rozbudzanie w ludzie godności narodowej, gdyż to wynika wprost z zakonu miłości bliźniego. Naród wiąże gminy i rodziny w jedną całość a kościół winien złączyć narody. Przez rodzinę i gminę zatem buduje się narodowa jedność, przez narody zbuduje się kościelna całego rodzaju ludzkiego. Dodać tylko musimy, że nie sama kazalnica, ale i przykład żywy duchowieństwa jest źródłem oświaty religijno-obyczajowej dla ludu. Sprawa ta jest całkiem w ręku duchowieństwa, na nim też cięży cała odpowiedzialność za skutki, jemu się będzie należała kiedyś chwała i wdzięczność, jeżeli na tej drodze lud pozyska przekonanie, że jest narodem i przejmie się swojem powołaniem narodowem.

Co do pożycia obywatelskiego, tu najwięcej zależy od tych, którzy najbliższą styczność mają z ogółem ludu, a zatem na urzędach, na obywatelach, mających jakiekolwiek wyższe stanowisko pośród ludu, czyto przez majątek, czy przez zajmowanie się przedsiębierstwami, które się na pracy ludu opierają, czy innym jakim sposobem.

W tym zakresie nie zależy oświata ludu na czytaniu i pisaniu, nauczaniu i wykładach teoretycznych, ale na czynach i żywych przykładach.

Jeżeli człowiek, pojmujący obowiązki obywatela, i zajmujący stanowisko wyższe pośród ludu, zacznie się interesować szczerze sprawami gminy z którą jest w styczności; jeżeli przejąwszy się tem wyobrażeniem: że gmina jest zdrobniałym wzorem narodu, na niej i w niej będzie praktykował wszystkie sprawy narodowe: tę solidarność obywatelską, która stanowi całą potęgę narodów, poszanowanie dobra powszechnego z uszczerbkiem nawet prywatnego, administracyę, bezpieczeństwo wewnętrzne i zewnętrzne, gospodarstwo finansowe, sprawy szkolne i t. d. — jeżeli, mówimy, światlejszy obywatel z dobrem rozumieniem rzeczy i szczerem zamiłowaniem dobra całego narodu zajmie się sprawą gminy, ten niezawodnie położy jeden z kamieni węgielnych do przyszłości narodu, bo on czynem, przykładem szybcej i dzielniej wpływającym niż nauki, wychowywa prostaczków ludowych na prawdziwych obywateli i członków narodu. Kto dziś odosobnia się najzupełniej od ludu, staje mu się obcym, nie troszczy się wcale o sprawy jego, które go dawniej obchodziły dla własnej korzyści, ten popełnia grzech przeciwko przyszłośc narodu. Tym sposobem zostawia się odłogiem najżyźniejsze pole tej przyszłości, które się dziś doprasza uprawy zasiewu, bo już samo cierpieć zaczyna z tak długiego zapuszczania go chwastem i kąkolem.

Lecz gdy tak się rozwodzimy nad powołaniem obywatelstwa względem ludu, przychodzi nam na myśl ważne pytanie; czy nasze obywatelstwo jest w stanie to powołanie zrozumieć i wykonać? boć nie taka to łatwa rzecz jak się zdaje. Łatwo tu wiele zepsuć, a trudno potem naprawić.

Nie wątpim, że wielu pojmuje istotnie tak swoje stanowisko, jak według naszego zdania pojmowane być winno, lecz zdaje się liczba tych być bardzo małą, albo gnusność ich bardzo wielka, gdy żadnych przykładów takiego działania nie widzimy. Pomimo tego, że nie watpimy o znacznej liczbie pojmujących swoje obywatelskie powołanie, sądzimy, że potrzebna jest, by tej klasie znowu, która winna być dzielnym przewodnikiem ludu, w pomoc poszli swojemi wiadomościami i swoją pracą ludzie naukowi. A widząc tak rozpierzchnięte siły między obywatelstwem zarówno jak między ludźmi nauki, poglądamy znowu tęskliwie na Towarzystwo naukowe krakowskie, które z materyalną pomocą jednych, a umysłową drugich może stanąć na straży tej oświaty obywatelskiej, która prowadzi do dzielnej oświaty ludu. — Wprawdzie bardzo znaczna część tego zadania cięży także na Towarzystwach gospodarskich, ale ich zawodu, jako ściśle specyalnego tykać nie myślimy i tylko słów parę rzec musimy o sposobie jaki naszem zdaniem mają obywatele kraju i Towarzystwo naukowe krakowskie, aby się usposobić do przewodniczenia dzielnie oświacie ludu, i w tem sposobieniu się być sobie pomocnem.

Niechaj to nigdy nie wygasa w pamięci dzisiejszego pokolenia, i nigdy też dość często powtarzać tego nie można, że podzielone dziś jest duchowe władztwo Piastów i Jagiellonów między dwóch dziedziców; piastunów nauki a resztę narodu.

Myliłby się wszelako bardzo, ktoby sądził, że duch Piastów podzielił swoje dziedzictwo między syny swoje tak samo, jak niegdyś dzielili królowie kraje, przekazując każdemu inny kawał ziemi, inną dziedzinę. Myliłby się i bluźniłby duchowi króla kmiotków, ktoby sądził, że on przekazał księgę ustaw swoich dzisiejszym wiekom jako martwą pozostałość, jako trupa którego rozbieranie przyniesie w końcu ten pożytek, iż kilku uczonych będzie wiedziało, jak ówczesne prawodawstwo było dalekiem lub blizkiem dzisiejszego. Myliłby się, ktoby sądził, że badanie nadań i osiedleń miejskich i wiejskich jest rozrywką suchą poważnionych ze światem szperaczy — myli się i bluźni duchowi wielkiej przeszłości, kto sądzi, że wyjaśnianie jej bez pożytku jest dla obecnych pokoleń i sprawy narodu.

Zaprawdę, żadnego czynu w dziejach nie uroniła Opatrzność bezpożytecznie. Oto idź między lud i posłuchaj podań jego. Idź między lud mało-ruski i podsłuchaj wieści o wielkim księciu, któremu kiedyś Kijów wydarto, a który legł w ziemi, by na czarodziejski odgłos dzwonu zaklętego powstać, i powołać cały Naród za sobą, by odzyskać przedwiekową stratę. I pójdź od ludu do zapylonej księżnicy i miej tyle miłości dla tego ludu by się przekonać ze starej kroniki, że podanie jego nie jest baśnią, lecz istną prawdą, przekonasz się oraz, że ta nadzieja jest czemś więcej niż baśnią dziadów i nianiek, że na pamięci świetnej przeszłości buduje się nadzieja przyszłości. Powróć tedy od starej księgi między lud i powiedz mu:—Oto prawdą jest, co mówicie o książęciu zginionym, bo opisał te rzeczy w starych księgach współczesny świątobliwy człowiek — a jak czcicie pamięć, tak czcijcie nadzieję waszą. I chwyć się tej wątłej latorośli, i pielęgnuj ją i przekaż drugim pielęgnowanie jej.

Wypada nam jeszcze pomówić o trzeciem ognisku oświaty ludowej: o szkole Rozumiemy pod tym wyrazem nie samą szkołę wiejską, ale w ogóle naukową stronę oświaty ludowej, a zatem i oraz tak zwane piśmiennictwo ludowe: Książki i pisma czasowe dla ludu.

Kościelna oświata, światło słowa bożego, światło prawdy popartej powagą objawienia, i obywatelska oświata czynu i żywego przykładu, są to one dwie wielkie potęgi zewnętrznie na lud działające, które winne go spoić w jedną całość i wskrzesić uspioną w jego sercu iskrę żywota.

Oświata słowa pisanego: szkolna i piśmiennicza jest wszakże dopiero tym żywiołem, który przysposabia rolę dla siejby wiary i obywatelskiej godności; onato usposabia umysły ludu wiejskiego tak, że ziarno boskiej nauki lub wszczepione w jego serce patryotyczne uczucia nie padną ofiarą pierwszego lepszego wichru, któryby je rozwiał jak ślady na piasku znaczone i pozostawił pusty zdziczały grunt tego serca. Widzimy, że najpotężniejszych narodów najwadliwszą stroną jest nieoświecona klasa ludu. Zbyt daleko zaprowadziłoby nas poszukiwanie czy kwestya proletaryatu, tak groźna Europie od wieku, blizko niegłębsze ma korzenie w braku oświaty niż w zmianach ekonomicznych stosunków, albo raczej, czy zbyt wielka nierówność bytu materyalnego nie polega w znacznej części na

wielkiej nierówności oświaty. Tu przytoczymy tylko przykład, że gdzie większa dbałość o nauki w najuboższych nawet klasach ludności, tam i nędzy mniej, ten przykład mamy w Szwecyi i Norwegii, Stanach zjedn. Ameryki, Szwajcaryi — przyczem należy i na to zwrócić uwagę, że w tych krajach panuje wielka swoboda pod każdym względem a zwłaszcza pod względem oświaty.

O naszych szkółkach i szkołach niby ludowych byłoby wiele do mówienia, i dla tego nie tu miejsce na to, ale musimy także odwołać się do dwóch pouczających przykładów z naszego kraju, oto: że w wielu miejscach lud wiejski sam się domaga języka swojego w szkołach, a to lud tych okolic, w który starano się wmówić, że nie jest ludem polskim; że słyszeliśmy o kilku duchownych w naszym kraju, którzy istotnie bardzo gorliwie i praktycznie zajmują się oświatą szkolną oprócz kościelnej i osiągają skutki niespodziewane. Bardzo praktyczną była raz uwaga jednego z pism naszych czasowych, niezbyt sprzyjającego oświacie ludu, że tem powinnyby się głównie zajmować bractwa pobożne. — Tak jest, ale bractwa te powinny wyłacznie się temu celowi poświęcić, a nie podejmować sprawy tak wielkiego zajęcia wymagającej jako pobocznej.

Co do psimiennictwa ludowego, musimy wyznać, ze to u nas bardzo nizko stoi. — „Na co pisać? wołają niektórzy, kiedy lud nasz nie czyta.“ — „Piszcie a będzie czytał“ mówią drudzy. Zdaje się, że obie strony zbyt jednostronnie rzeczy biorą. Że lud nasz czyta choć niewiele, mamy tego liczne przykłady, a najważniejszym jest istnienie i dość znaczne rozszerzenie pisma ludowego, naszego „Dzwonka“. Wątpimy jednakże znowu, aby wielka produkcya pism ludowych zniewalała lud do czytania, jeżeli na rozszerzaniu pism ludowych nie wpływają klasy światlejsze. Prędzej wierzymy, że natłok płodów literackich pobudza światlejszych do czytania, dla których stało się czytanie potrzebą, bo obfitość wzmaga potrzeby tak umysłowe jak fizyczne; ale dla ludu, który tej potrzeby jeszcze nie zna, potrzebne jest koniecznie pośrednictwo klas światlejszych.

Najlepszym sposobem ku obudzeniu potrzeby czytania i ku zachęceniu go jest bezprzecznie pismo czasowe przystępne ceną i treścią. Z tego względu nie możemy inaczej tylko wtórować jak najusilniej pochwałom udzielonym Dzwonkowi przez pisma i głos publiczny. Pismo to tchnie zupełnie tym duchem, jaki według nas jest warunkiem oświaty ludowej.

K. W.

PISMA CZASOWE POLSKIE.

Powróćmy raz znowu do pism warszawskich. Nierównie mniejsza, niż jeszcze niedawno, przedstawia nam się w tych pismach swoboda a ztąd i mniejsza obfitość treści. Rzadsze są teraz kerespondencye w tamtejszych pismach z Poznania, Lwowa, Krakowa, a te które się znajdują straciły wiele na śmiałości, łatwo się domyśleć z jakich przyczyn. Z samego królestwa i ziem zabranych, jeżeli ma która gazeta korespondencye, tyczą się one tylko ruchu przemysłowo-handlowego i miejscowych wiadomostek. Znać, o czem innem pisać nie mogą.

Wszelako ruch przemysłowy jest tam nieustannie żywy i nie ostyga tamtejsze obywatelstwo w zawiązywaniu coraz nowych ku temu spółek.

W najnowszym czasie przybyły do licznych jnż istniejących, trzy nowe „domy zleceń rolników“ — w Włocławku, Hrubieszowie i w Opolu. Tego ostatniego program zawiera kilka słów serdecznych i uwag trafnych które powtórzyć poczytujemy sobie za powinność dla dania wyobrażenia czytelnikom naszym o duchu prawdziwie obywatelskim tamtejszych ziemian. Naczelnicy domu zleceń pp. Wydrychiewicz, Jasieński i Bieliński zawiadamiając współobywateli o utworzeniu „domu zleceń“ tak się między innemi odzywają:

„Tym więc sposobem spełnione zostały życzenia wasze, współziemianie, tak stale i jednozgodnie przez was wyrażone. Mamy nasz wspólny Dom. Lecz nie dosyć go zawiązać, trzeba go wytrwale do celu prowadzić. To zaś nietylko od nas, lecz i od was zależy. Wtedy tylko, gdy każdy swoją powinność pełni, powodzenie jest pewne. Najprzód chętnie chciejcie rozbierać akcye... niech tylko każdy z nas da to co może, całość prędko się zbierze. Powtóre strzeżmy się, aby nie lekceważono między nami zobowiązań, jakie względem Domn zaciągane będą... Niech słowo rolnika polskiego będzie jakby na marmurze ryte... Potrzecie bądźmy wytrwali.... Nie sądźmy, abyśmy po kwiatach tylko wśród oklasków życzliwych widzów stąpać mieli. Każdy rozwijający się organizm spotyka trudności. I my je znajdziemy na naszej drodze. Czekają nas niezawodnie chwilowe straty, zawistne obmowy, fałszywe wieści. Znieśmy mężnie pierwsze, nie dajmy się uwieść ostatnim. Wytrwajmy w wierze, że to, co dziś przedsiębierzemy dobre jest, a przyszłość będzie nasza... Ufność i jedność!!!“

Nie jestże to odezwa, którąbyśmy sobie powtarzać powinni przy każdem nowem przedsięwzięciu dla dobra powszechnego, które zarazem jest dobrem każdego w szczególności?

Z Kalisza donoszą o pierwszem posiedzeniu akcyonaryuszów Domu handlowo-komissowego rolników kaliskich pod firmą Jabłkowski, Radoliński, Skupieński i Spółka. Przytacza korespondent ustęp z mowy p. Rembielińskiego, prokuratora król., którą zagaił posiedzenie. Ustęp ten zawiera umiejętne określenie zadania takich domów, dowodzące z jak znamienitym przysposobieniem nietylko materyalnym ale i naukowym nawet biorą się tam do rzeczy: określa on głównie jako cel tych przedsięwzięć organizacyę handlu i kredytu w kraju.

Tych kilka ważnych zdarzeń z życia publicznego w królestwie dostarcza Gazeta Warszawska w ciągu dwóch tygodni. Czyż myśmy się zebrali na co podobnego w ciągu roku całego? A od roku już przeszło jest u nas mowa o potrzebie podobnych Spółek. Listy z Lublina o tamtejszej wystawie wielce są zajmujące dla gospodarzy i przemysłowców. Zresztą zawiera taż Gazeta w ostatnich numerach, oprócz Listów z Wieluńskiego dotyczących towarzyskiego pożycia między obywatelstwem, niektóre ciekawe wiadomości literackie i artystyczne.

Między literackiemi należy do wielce ważnych dla dziejopisarstwa naszego wiadomość z Rzymu o wyjściu pierwszego tomu zbioru dokumentów historycznych pod tyt. *Vetera Monumenta Poloniae* p. Theinera (tak zwana: Sacra Polonia). Miłą dla każdego Polaka jest wiadomość o wydaniu bajek Krasickiego i Jachowicza po francuzku. Tłumaczami są pp. *Leclerc* i *Rollinat*. Niezmiernie mało jest dzieł polskich tłumaczonych na inne języki, a jednakże tyle posiada literatura nasza jedynych w swoim rodzaju utworów, albo znowu na równi stojących z podobnego rodzaju utworami obcych literatur, że tylko lekceważeniu przez obcych, na jakie nas skazały dziejowe stosunki, przypisać należy tę ich obojętność dla naszych najcelniejszych autorów. Ciż sami tłumacze bajek Krasickiego i Jachowicza mają zamiar przetłumaczyć także kilka komedyi Fredry, mianowicie: Przyjaciele — Dożywocie — Mąż i żona — Śluby panieńskie.

Wielce ciekawą znajdujemy w Gazecie Warszawskiej wiadomość o najdawniejszych gazetach polskich, które w samych początkach ich powstania zwano: Awizami.

„Niejednemu zapewne pracującemu nad historyą krajową, zdarzyło się czytać w dawnych dziełach wspomnienie o awizach. Potocki naprzykład w Juwenalisie, w jednem miejscu powiada: „Gdy go doszły o Szotach Tarnowskich awizy.“ Inny znowu pisarz XVII stulecia, Aszpurger mówi: „Awizy królowi podano, że poseł z Gallii przybywa.“ Ale szczególnie w rękopiśmiennych źródłach nieraz przychodzi spotykać się z tym wyrazem: Król Jan III w listach świeżo przez Helcla ogłoczonych często się skarży, dlaczego mu awizów nie nadesłano. Pomimo tylu skazówek dotąd jednak coby znaczyły właściwie, nie wiedzieliśmy, tłómacząc tak, jak w słowniku swoim Linde, że to był wyraz pochodzący z francuzkiego, wyszły z użycia, i dosłownie brany jako doniesienie, wiadomość, nowiny, tak jak teraz w stosunkach handlowych aviso używane bywa na oznaczenie wiadomości o wysełce towarów, okrętów, wystawienie wexlu itp. czynnościach. Wprawdzie w tymże słowniku znajdujemy, że Awizarz, znaczyło gazeciarz, ale nadto nic więcej. Dopiero szczęśliwym trafem p. Alexander Przeździecki, zasłużony i zaszczytnie znany w literaturze naszej orędownik, odkrył w czasie ostatniej swej podróży w Krakowie, zbiór dość znaczny druków, które przekonywają, że owe awizy były to gazety polityczne, prawie zupełnie w tym stanie co dzisiejsze i wychodziły po znaczniejszych miastach dawnej Polski, były bowiem awizy krakowskie, warszawskie, lwowskie, gdańskie i t. p., a że drukowano je na luźnych ćwiartkach, niekiedy nawet na mniejszych pojedyńczych świstkach, dla tem łatwiejszego. zapewne ich rozsełania i nie peryodycznie lecz w miarę nagromadzonych wiadomości, ztąd nie starano się o ich przechowanie i dla tego to nie zdarzyło się żadnemu z bibliografów, o ile nam wiadomo, kiedykolwiek z niemi się spotkać. Pierwszeństwo tedy odkrycia należy p. Przeździeckiemu, który dostawszy znaczny zbiór tego rodzaju gazet, z sześciu lat, to jest od roku 1696 do 1702, takowe uprzejmie do rozpatrzenia nam udzielił, z czego też korzystając podajemy o nich bliższą wiadomość. Awizy rzeczone wychodziły w Krakowie za przywilejem królewskim, przy ulicy św. Anny, w kamienicy pod czarnym orłem; przy końcu bowiem niektórych numerów umieszczone jest następne zastrzeżenie: „Do wiadomości podaje się, jako wszystkie nowiny wydają się przetłumaczone z różnych języków cudzoziemskich, z wielką pilnością od dawnego autora, za osobliwym Najj. Majestatu J. K. M. Pana Miłościwego przywilejem, i z niskąd nie powinny wychodzić tylko od tegoż autora, poddanego nie innego i sługi najniższego Króla J. M. in officio zostającego, żeby się nikt nie ważył inszych wydawać i drukować, ale na św. Anny ulicę pod czarny orzeł w podpartej kamienicy po nie przychodzić, według ostatniej informacyi.“ Kto atoli był ten dawny autor, trudno wiedzieć, sądząc po wskazaniu bióra redakcyi najpewniej jaki profesor akademii, gdyż wspomniona kamienica stała obok teraźniejszego uniwersytetu. Nie miały one żadnego ciągu, numeru ani paginacyi, lecz dzieliły się na kartki, osobne z wiadomościami krajowemi, a osobne z zagranicznemi. Te ostatnie nawet wydawane były zdaje się stosownie do żądania, gdyż przy jednej znajdujemy takie ogłoszenie: „Jeśli czytelnikowi potrzeba będzie różnych *curiosa*, jako to relacyey o bitwach w Węgrzech o Ozowie, mów zacnych Senatorów wielkich, konfederacyey, Epitaphia królewskie, znajdzie to na św. Anny ulicy w kamienicy i t. d. *et alia curiosa* drukowane.“ (Awizy 3 listopada 1696.) A jeżeli mu kiedy takich wiadomości cudzoziemskich brakowało, tedy nie robiąc sobie ceremonii donosił, że z tego a tego kraju „nie masz nic *curiosi* tą razą do oznajmienia, gdyż żadna wiadomość *adhinc non advenit*. Z innych krajów i z pogranicza wcale było cicho.“ Za to wiadomości krajowe są bardzo starannie podawane i nadzwyczajnie ciekawe Mamy tam nietylko zdarzenia polityczne ale i drobne szczegóły, o stanie powietrza, o wypadkach nadprzyrodzonych, ślubach, urodzinach, pogrzebach, nominacyach, przyjazdach i wyjazdach różnych dostojników krajowych, o uroczystościach kościelnych. Tak czytamy pod dniem 26 lutego 1696 opis ceremonii w kościele OO. Kapucynów w Warszawie oddawania biretu kardynałowi D. Arquien, krewnemu królowej. „Biret ten, piszą awizy, przywiózł z Rzymu Monsignor Abbas Accoramboni, który był w todze czerwonej ubrany gronostajami podszytej, ten oddał *ad manus Regias* biret kardynalski Królowi J. M., do którego (ex oposito tronu królewskiego, siedząc z Najjaśniejszemi Królewicami Ich Mościami) ruszył nowo kreowany *Eminentissimus Reverendissimus Cardinalis* ku baldachimowi i tak król J. M. na jego kardynalską głowę z należytą włożył biret ceremonią i zaraz *Te Deum laudamus* zaśpiewano i z dział po trzy kroć uderzono. Traktament godny u tychże W. OO. Kapucynów w refektarzu był. Ten Monsignor Abbas wziął w upominku od kardynała łańcuch złoty *magni valoris* Mrokiem zaś samym z królestwem Ich Mościami pompose prowadzony do Mariaeville miejsca wystawionego od Najjaśniejszego Majestatu Królowej Jejmościej, gdzie w każdym oknie co ich jest tak siła, lane jarzące gorzały świece i wielka była tego miejsca illuminacya i znowu z armat przy różnych muzykach bito, co Najjaśniejsze Majestaty królewskie *ad honorem* nowo kreowanemu kardynałowi czynili applauzy.“ Są tu podobneż opisy uroczystości dworskich zapust, uczt, wesel, w których nawet ubiory gości są opisywane, zupełnie tak jak to czyni dzisiejszy nasz kuryerek

warszawski. Ciekawe więc znajdujemy szczegóły o Krakowie i Warszawie. W innych miejscach podaje wiadomości o napadach tatarskich i tureckich, lub zdarzeniach jakich osobliwych, o których donosząc jeżeli nie był pewny, ostrożnie zaczynał od słów „w Warszawie głos latał“ że taki a taki, to zrobił, lub zrobić zamyśla. Mamy tu opisy trybunału lubelskiego, dworu króla Jana III. w Willanowie, mamy dokładny opis choroby tego króla, jego śmierć, ceremonii pogrzebowych w całym kraju, zwad pomiędzy rodziną „z powodu galanteryi i splendorów królewskich w Willanowie, tudzież intrat dóbr wszystkich“ jak się naiwnie awizy wyrażają. Dalej czytamy najdokładniejsze doniesienia wypadków bezkrólewia i czynności rządowych, o sejmach i sejmikach w całej Polsce, szczególnie o sejmie konwokacyjnym a następnie koronacyjnym. Wybór Augusta II., przyjazd jego do Polski zajmuje nie mało miejsca w awizach tego czasu. Snadź były to wiadomości tak pożądane, że redakcya miała nawet w Dreznie korespondenta, który im donosił o nowym elektorze jak wygląda, jakie ma zwyczaje i t. p. „Poszedłem mówi osobna relacya z dnia 26 lipca 1697 roku ku pałacowi, gdziy książe Imci Saski, nowo obrany rezydował, kędy w pośród rynku stało rajtarii po sto ludzi na koniach, należycie komenderowanych, to jest w szyku od godziny do godziny póki piechota nie nadeszła — wszedłem potem do pałacu przez wartę, która na dole stała i na górze przed pokojem nic żadnemu nie mówiąc, ktokolwiek poszedł widzieć pana, dla czego wolny przystęp był każdemu tak panu jak i chudemu pachołkowi bez odpowiedzi żadnej. W tymże pałacu otwarta królewska piwnica była, gdzie było wolno każdemu i najlichszemu pójść, napić się czego chciał, gdyż udzielano wina, miodu, gorzałki i piwa co tylko kto chciał.“ Naturalnie korespondent chwali go niezmiernie i awizy z tego korzystają, by się zalecić nowemu panu. Mamy tu awizy gdańskie, gdzie są opisy wyprawy księcia Kontego do Polski w drobnych i ciekawych szczegółach. Opisy przygotowań czynionych w Warszawie i Krakowie na przyjazd nowego króla. Wjazd tegoż, ceremonie ostatniego hołdu Bytomia i Lawenburga przez elektora brandeburskiego i wiele tym podobnych, niesłychanie zajmujących zdarzeń. Awizy dawały także wiadomości o wychodzących książkach, skoro się ukazały na widok publiczny. I ten rodzaj doniesień jest ciekawy. I tak pod dniem 28 marca roku 1700 czytamy następne ogłoszenie: „Wyszła też tu nowa z druku gramatyka ucząca polszczyzny przez łacinę, którą polepionymi na kościołach kartkami ogłoszono w ten styl: *Prodiit noviter e typo Grammatica Latino polonica, scilicet modum discendi linguam polonicam dimonstrans. Authore Bartholomeo Malitzki, quae prostat venalis Cracoviae in domo, authoris in platea S. Annae et in Typographia Schedeliana, et in Officinis librariis ad Ecclesiam Beatissimae Mariae in circulo.* Są także i doniesienia teatralne. W roku 1700 bawili w Warszawie komedyanci francuzcy, i już jak piszą awizy, „sporządzili wszystkie praeparatoria i teatra do reprezentowania oper i komedyi pięknych.“ Od nowego 1700 roku zmieniły awizy swój tytuł na gazety, wszakże pomimo to, wychodziły w tej samej formie i składzie. Dopiero od roku 1702 widoczna we wszystkiem pokazuje się zmiana, już nie na ćwiartce lecz na małej ósemce się drukowały, mają u góry herb państwa z saskim we środku, ale treść szczupła, redakcya mniej troskliwa, wiadomości prawie żadnych. Na tem też i cały zbiór pana Przezdzieckiego się kończy, może więcej tych awizów nie wychodziło, gdyż wkrótce nastała wojna szwedzka, która wszystko spłoszyła i zniszczyła. W ogóle tak jak są, drogocenny to materyał do dziejów krajowych tych sześciu lat, i do życiorysów pojedyńczych osób zajmujących pewne stanowisko w dawnej Rzeczypospolitej. Drobne fakta i fakciki, mozajka zdarzeń i opisów pozornie bez związku, dla umiejętnego badacza mogą być szacownym skarbem wiadomości, których gdzieindziej napróżnoby szukać wypadało. Literatura broszurowa dostarczyła już tyle ważnych szczegółów do obrazów dawnego społecznego stanu, cóż dopiero mówić o literaturze peryodycznej, tej, że tak powiem, kronice codziennego życia, gdzie takowe najwyraźniej i z konieczności się skupiało i odbijało. Zawsze to nader bogata kopalnia nietylko dla historyka ale i dla romansopisarza. Nakoniec z odkryciem owych awizów nabieramy przekonania, że zjawienie się stałych pism peryodycznych w naszej literaturze jeżeli nie wcześniej to na równi nastąpiło z innemi najdawniejszemi w Europie. Mieliśmy bowiem już gazety polskie w r. 1661, łacińskie w r. 1697, teraz przybywa cały ciąg do roku 1702. Wprawdzie potem następuje przerwa, którą może także szczęśliwy traf kiedy zapełni, aż do r. 1729, odkąd stale zaczęły wychodzić gazety w Warszawie.“

Ze świata artystycznego znajdujemy już nierównie mniej śladów owego muzykalnego szału, który jeszcze niedawno panował w królestwie. Zdaje się, że zapał do podnoszenia życia umysłowego przybrał tam teraz kierunek bardziej wielostronny. Więcej czytamy teraz wiadomości o odbudowywaniu dawnych kościołów i o wznoszeniu lub odnawianiu dawnych pomników sztuki, jakoteż w ogóle o zajęciu się sztuką plastyczną i malarską. Z tego względu godnem wspomnienia zjawiskiem są puhary przeznaczone do nagród przy wyścigach w Lublinie odbytych, wszystkie w kraju wyrobione, a mianowicie dwa w Warszawie u Malcza, trzeci zaś w Lublinie u złotnika Galeckiego. Lubelski korespondent twierdzi, że lubelskie wyroby wzięły górę nad warszawskiemi. Co najważniejsza, naszem zdaniem, — że puhary te są zrobione kosztem obywateli miasta Lublina. Na jednym z nich jest wiersz z Klonowicza wyryty:

Lecz miła Polska na żyznym zagonie
Zasiadła, jak u Boga na łonie;
Może nie wiedzieć Polak, co to morze,
Gdy pilnie orze.

Lubelskie puhary odznaczają się jak widzimy z opisu ozdobami herbowemi miasta i ziem ojczystych — słowem cecha ich całkiem narodowa.

Z powodu przyozdobienia hotelu pod Złotą gęsią w Wrocławiu (znanego tym, co nie jeżdżą za granicę z Podróżomanii) oknami pysznie na szkle malowanemi wspomniano że i u nas, zwłaszcza w siedemnastym wieku słynęło malarstwo na szkle.

W Warszawie był osobny cech szklarski, ale nietaki jak dzisiejszy, gdyż członkowie jego musieli być oraz biegłymi w sztuce malarskiej, i przepisy cechowe wymagały, by

szklarz, nim został majstrem, złożył dowody biegłości swej w malowaniu na szkle. Akta cechu szklarskiego w Warszawie z r. 1551 zawierają opisanie „majstersztyku“ jakiego wówczas żądano od szklarza. Miały to być dwa obrazy szklanne przedstawiające Mękę Zbawiciela na krzyżu z stojącą po prawej stronie Matką Boską, po lewej zaś z wyobrażeniem św. Jana ewangielisty, drugi miał przedstawiać N. Pannę Maryę otoczoną promieniami z dziecięciem Jezus na ręku. Miały te obrazy być albo malowane z paletry albo ułożone „z wymierzonego cyrklem szkła pruskiego.“

Hańbą Pilawiecka,

23 września 1648 r.

„Niesłychanym dotychczas sposobem“ — ubolewa światły kanclerz Radziwiłł w swoim pamiętniku „poniosło wojsko polskie pod Pilawcami srogą hańbę, od której go „ani bojaźń, ani miłość ojczyzny, ani honor, ani infamia powstrzymać nie zdołały,“ „Kara to Boża za nasze grzechy; czytamy dalej w pamiętniku kanclerskim, „oczewista kara Boża“ wtórują mu wszystkie spółczesne pamiętniki i historyografie. Jak zaś ciężko uczuł cały naród ową hańbę rycerską, dowodzą najlepiej słowa bohaterskiej matki króla Sobieskiego wyrzeczone do młodzieńczych wówczas dwóch synów Jana i Marka: „Nie znałabym was za synów, gdybyście kiedykolwiek powrócili do domu jak ci rycerze pilawieccy.“ A i cały świat europejski zwrócił ze zdumieniem oczy na plamę rycerstwa, które zwykle zwyciężającem lub bohatersko gardło dającem widywał. Lecz przypatrzmy się bliżej temu nadmiar smutnemu wydarzeniu, utwierdźmy przekonanie, że i w najświetniejszem życiu tak człowieka jak i narodu przypadają chwile ciemne, pełne poniewolnej grozy i upadku, których historya nigdy pominąć nie może.

Całun grobowy okrył tron Władysław IV i niemniej srogi całun okrył polityczny spokój Polski. Nieszczęśliwie rozpoczęta wojna kozacka przebrała teraz zatrważające rozmiary. W dwukrotnem zwycięztwie upojony lacką krwią Chmielnicki rozwijał coraz śmielsze plany dalszych powodzeń, i zapewniony o pomocy hana krymskiego, mając przychylne dla swych zamiarów usposobienie porty ottomańskiej nie wiele już baczył na harde pogróżki panów polskich. Jakoż i Polacy poczęli prócz pogróżek coraz groźniejszą przybierać postać. Ogłoszono pospolite ruszenie i dawno już nie praktykowanym sposobem wyruszyła w pole ogromna armia, licząca do 40.000 rycerstwa, trzy razy zaś tyle zbrojnych pacholików i ciurow. Wyniosła natura szlachecka pragnęła czy nie więcej jak oswobodzenia ojczyzny, ciężkiego pokarania buntów chłopskich. I z nieudanem gniewem srożyło się rycerstwo na tę hołotę, którą nie orężem lecz łyżkami zamyślała pobić. Ufni zaś w potęgę, którąby „Konstantynopol mogli zawojować“ postanowili przyszli bohaterowie w szczególny sposób okazać wzgardę nieprzyjacielowi „Otóż wybrali się panowie koronni“ — opowiada pamiętnik Maszkiewicza — „od purpurowych ze złotemi węzłami nietylko rydwanów ale skarbnych wozów, od szat, srebra, złota, klejnotów, obicia itp.; tak, że rzadki towarzysz nie równał się panom wielkim w dostatku, by i ostatnią substancyą przedać a dostatnio się ustroić.“ „Z nieporównanie większym niż kiedykolwiek zbytkiem“ — żali się pamiętnik kanclerski — „w złocie i srebrze, w namiotach przepysznych perłami sadzonych, i we wszelkim rodzaju rozpusty przybyli Wenerze i Bachusowi służąc i sądzili, że już w ręku mieli powiązanych kozaków.“

Toż i niemniej groźną wydała się ta potęga samemu kozactwu. Stanąwszy wobec polskiego obozu liczył Chmielnicki do 100,000 kozactwa wyglądając posiłków tatarskich. Bez tych nie śmiał on stawić czoła znanemu z animuszu rycerstwu. Lecz i w tem położeniu znalazł radę chytry Chmielniczeńko. Na czele wojska polskiego znajdował się wówczas z powodu niewoli obudwóch hetmanów Dominik xiąże na Zasławiu wespół z dwoma drugimi regimentarzami. Nieszczęśliwym trafem brakło na teraz ogromnej armii owej na zdolnym wodzu. Wszyscy trzej regimentarze nie odznaczali się bynajmniej talentami wodzów, a podług słów Radziwiłła lepsze bywa wojsko jeleni pod wodzą lwa, jak lwie pod wodzą jelenia. Przysłowie to znalazło teraz nieskończenie właściwe zastósowanie. Chcąc zyskać na czasie udali się kozacy do xięcia Dominika z obłudną prożbą o mediatorstwo ze sejmem, oświadczając niezwykłą pokorę i skruchę. Łatwowierny wódz uwierzył zręcznym intrygom, a trzymając się zasady, że gdy chłopów wybijem, nie będzie komu robić pańszczyznę, odrzucił stanowczo wszelkie projekta stoczenia bitwy. Prędko jednak przyszło opłakać nazbyt gospodarskie rozumowania xiążęce. Zbliżyły się przednie czaty tatarskie, przerwali traktaty kazacy, xiążę stracił głowę a wojsko otuchą. Niedawno jeszcze tak chełpliwie odważne rycerstwo dało się dziwnym sposobem owiać niepojętą trwogą. A gdy 23 września wieczorem sztab główny z xięciem wydalił się z obozu pod pozorem zwiadów, padło nieszczęsne hasło ucieczki. Przed świtaniem pozostały w obozie jeno owe niezliczone wozy przepełnione skarbami całej Polski, jeno haniebna plama tchórzostwa tłocząca srogiem brzemieniem tyle sławioną rycerskość Polaków. Żadną miarą nie chcieli z początku kozacy uwierzyć łatwemu zwycięztwu, i dopiero po długich próbach weszli do opuszczonego obozu.

I czyż godzi się tak smutną chwilę przeszłości przywodzić na pamięć, zwłaszcza dzisiaj w dniach tak srogiej próby, w dniach łez i boleści? Owszem, owszem. Toć i Job dotknięty chwilowo palcem bożym jęczał śród plwających nań dawniej nieraz przyjaciół, dziś wrogów: „Panie winienem!“ Błędy ojców mają nam stanąć nie przykładem, lecz groźną przestrogą na przyszłe dni żywota. A cóż wywołało ową „oczewistą karę“ tyle wyniosłego rycerstwa jak niesprzeciwienie się wyrokom swego przeznaczenia. Wypadek ten przypadł narodowi naszemu w chwili, kiedy właśnie zaczął zchodzić z wspaniałej drogi swego historycznego posłannictwa. Ta sama dumna szlachta, przeznaczona do uskromienia klęski europejskiej pogaństwa, pod Pilawcami hańbą okryta, wzdrygnęła się niedawnemi czasy przed zamysłem króla Władysława IV, który ją chciał poprowadzić drogą wielką lecz trudną, drogą historycznego posłannictwa. Pod Pilawcami nastąpiła kara dla spółczesnych, przestroga dla potomnych, zbawienniejsza nieraz jak najpochlebniejsze obrazy powodzeń i szczęścia.

B. K.

Od redakcyi.

Z tym numerem rozsyłamy listy zwrotne na trzeci kwartał. Nowi abonenci, którzy na pół roku abonują, otrzymają cały poprzedni kwartał bezpłatnie za dołączeniem pocztowego 15 centów. Abonenci zaś całoroczni za dołączeniem pocztowego 30 cent. otrzymają oba kwartały. Uprasza się jednak o wczesne nadesłanie prenumeraty, gdyż cały zapas „Kółka rodzinnego“ wynosi tylko 100 exemplarzy.

Wydawcy i odpowiedzialni Redaktorowie: *Jan Zacharjasiewicz, Alexander Szedler.* Z drukarni E. Winiarza.